

**Norbert Grzegorz
Kościeszka**

POLICJA

Psy Prewencji



Norbert Grzegorz Kościeszka
Psy Prewencji

© Norbert Grzegorz Kościeszka, 2019

Psy Prewencji to opowieść o realiach służby w policji. O takiej, jaka jest naprawdę — czasami smutna, brutalna, a czasami śmieszna i przypominająca farsę. Ludzie, którzy stawili się do służby, pełni fascynacji i wyidealizowanych obrazków, po zderzeniu z szarą rzeczywistością i mechanizmami istniejącymi w policji, takimi jak kolesiostwo, nepotyzm, sprzedawanie się za awanse i premie, popadają w alkoholizm i wypalają się zawodowo...

ISBN 978-83-8155-569-2

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Psy Prewencji

OD AUTORA

I

Nic tu po nas...

II

Źródełko...

III

Osiedlowe gangusy...

IV

Zielinokio i (nie)wesołe kontrole

V

Czeczeni

VI

PdOZ

VII

Wisła Kraków i Motor Lublin vs. NOP*

VIII

Jesteśmy tylko ludźmi...

IX

Powiadomienie

X

Most na Wiśle...

XI

O świcie

XII

XIII

XIV

XV



***KSIĄŻKA NIEWSKAZANA DLA OSÓB WRAŻLIWYCH I PONIŻEJ
16. ROKU ŻYCIA!***

Wydanie drugie poprawione

OD AUTORA

„Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków policjanta, ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia. Wykonując powierzone mi zadania, ślubuję pilnie przestrzegać prawa, dochować wierności konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej, przestrzegać dyscypliny służbowej oraz wykonywać rozkazy i polecenia przełożonych. Ślubuję strzec tajemnic związanych ze służbą, honoru, godności i dobrego imienia służby oraz przestrzegać zasad etyki zawodowej”.

Psy Prewencji to opowieść o realiach służby w policji. O takiej, jaka jest naprawdę — czasami smutna, brutalna, a czasami śmieszna i przypominająca farsę. Ludzie, którzy stawili się do służby, pełni fascynacji i wyidealizowanych obrazków, po zderzeniu z szarą rzeczywistością i mechanizmami istniejącymi w policji, takimi jak kolesiostwo, nepotyzm, sprzedawanie się za awanse i premie, popadają w alkoholizm i wypalają się zawodowo.

Opowiem tu o funkcjonariuszach na samym dole policyjnej hierarchii. Większość z nich służy w prewencji, stąd nazwa — *Psy Prewencji*. Większość kieruje się zasadami koleżeńskości i wzajemnego wsparcia w potrzebie, choć zdarzają się czarne owce.

Psy Prewencji to ludzie odważni, wielokrotnie narażający swe życie i zdrowie dla dobra społeczeństwa i służby — są wierni rocie przysięgi. To policjanci, którzy są inteligentni i mądrzy, wielu z nich ukończyło kilka fakultetów, znają języki obce, wielu z nich zdobywa nagrody i medale w sporcie i dziedzinach życia kulturowego. W końcu to ludzie z pasją, niejednokrotnie posiadający nietypowe umiejętności i hobby. Poświęcają siebie, swoje rodziny, przyjaciół oraz wolny czas dla dobra obywateli, którzy wielokrotnie głośno mówią o tym, że nie lubią lub nienawidzą policji, a policjantów nazywają pogardliwie psami.

To te psy strzegą domów, obcych rodzin, firm, majątków, życia i zdrowia przed pospolitymi bandziorami, którzy o każdej porze i w różny sposób mogą zagrozić społeczeństwu.

Książka jest oparta na prawdziwych wydarzeniach przeplatanych z fikcją literacką, które zaistniały na przestrzeni kilku lat. Niektóre postacie, imiona i pseudonimy powstały na potrzeby publikacji z uwagi na to, iż realne osoby pełnią nadal lub pełniły służbę w firmie*. Jednakże wszelkie podobieństwo do prawdziwych ludzi, ich zachowania oraz sposób mowy są celowe i zamierzone. Koledzy i wrogowie mogą odnaleźć siebie samych,

rozpoznać, które sceny są prawdziwe, a które spreparowane na potrzeby książki.

Książka w osiemdziesięciu procentach oparta na faktach...

I

Nic tu po nas...

Oczami Nowego

...na pełnej kurwie wjeżdżamy w zakręt, z maksymalną możliwą prędkością, jaką nasz radiowóz może osiągnąć — 110 km/h. Patrolowy niebieski Opel Astra chwieje się na każdym zakręcie i podskakuje na wszystkich nierównościach drogi krajowej numer dziewiętnaście. Pełna prędkość, jaką możemy rozwinąć tym wehikułem, powoduje, że pojazd wibruje, poświstuje, charczy, burczy i mamy wrażenie, że zaraz się rozleci jak rakietka Challengera. Bulaje* napierdalają jak szalone, błękit policyjnych lamp odbija się w szybach mijanych domów i wyprzedzanych samochodów. Uszy wysiadają od ciągłego wycia koguta* — łłłłłłlljjjjjooooo łłłłłłlljjjjjooooo — i tak już 10 km, a do celu interwencji pozostało jeszcze trzy razy tyle!

Spoglądam na Generała, a on na mnie, wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Generał uśmiecha się pod nosem i wyciąga z kieszeni czarnej policyjnej bluzy USB z muzyką i podłącza pod terminal mobilny* znajdujący się

na desce rozdzielczej radiowozu. Ni chuja, nigdy to urządzenie nie działało prawidłowo, ale komedia główna* i minister spraw wewnętrznych zawczasu ogłosili sukces. Terminale mające na celu usprawnić pracę funkcjonariuszy nadają się tylko do tego, by puszczać z nich filmy i muzykę... To gównie nigdy nie działało tak, jak powinno... Chłopaki wiedzieli, jak wykorzystać terminal, by usprawnić, a w każdym razie uprzyjemnić nam służbę. Muzyka puszczana przy jego użyciu to jeden z tych sposobów. Uśmiejemy się z kolegą pod nosami.

Z głośników opla jako pierwszy poleciał *Blade 2* — *Soundtrack ~ Blood Rave* ze sceny filmu, gdy wampiry kąpią się we krwi skapującej z pryszniców — wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że za piętnaście minut będzie to prorocza melodia.

Ściskam mocniej wibrującą kierownicę, gęsia skórka pojawia się na rękach, prawy* daje głośniejszą muzykę, bo koguty nadal słychać wewnątrz pojazdu. Obaj zaczynamy kiwać głowami w rytm techno, wydaje nam się, że wyglądamy jak bohaterowie filmu *Bad Boys* — Martin Lawrence i Will Smith. I tego się trzymamy. Ludzie stojący na chodnikach patrzą na pędzący radiowóz jak na jakieś dziwadło, niektórzy są zdziwieni, inni robią znak krzyża...

Generał podwija rękawy czarnej bluzy, cały dzień mówił, że świerzbią go ręce... Sięga za podarte siedzenie swego fotela i wyjmuje dwie czarne gumowe szturmówki* o długości osiemdziesięciu centymetrów, które kilku z nas zakupiło za własną kasę, aby usprawnić przebieg wielu interwencji. Wygina je w rękach, jakby sprawdzał

czy nie pękną, kładzie na kolana i pieszczotliwie głaszcze, mrucząc cicho pod nosem:

— Dobra lola*, dobra lola.

Tymczasem ja mijam kolejne wioski i zakręty, radio zaczyna trzeszczeć, ściszymy muzykę, to KPP Kwaśnik* się odzywa:

— Szszszszsz. — Trzeszczy, a później słysząc głos durnego*: — ...11—011, gdzie, kurwa, jesteście? Domówka* się rozwija, zaraz może być ubój*, jedź szybciej kurwa, bo mi łączy ze zgłaszającą zerwało...

Prawy łapie gruchę*:

— A nie mogłeś z Kwaśnika patrolu wysłać? Tylko nas wleciesz z zadupia, przecież mają bliżej...

— Nie dyskutuj, kurwa, tylko jedź, bez odbioru... — Stacja się wyłącza.

— Kutas jebany — mówię do kolegi — przecież tamten rejon miał obstawiać patrol z KPP.

Generał potrząsnął głową i syknął:

— Kurwa jebana. — Po czym dodał głośniejszym głosem: — Nowy, ciśnij, ile się da...

Wciskam pedał gazu do oporu, silnik wyje, jakby miał zaraz wyskoczyć spod maski. Osiągamy prędkość większą o pięć kilometrów na godzinę. Jak na złość ruch na krajowej dziewiętnastce jest zajebiaszczy. Pomagam sobie klaksonem, żeby barany zrobiły „korytarz życia”*, bo wydaje mi się, że kierowcy durnieją na nasz widok i zamiast nas przepuścić, stoją w miejscu, robiąc korek.

— Ja pierdolę, co za ludzie, co za sprzęt — klęknę pod nosem. Od teraz jedziemy w skupieniu, kolega

ze zmarszczonymi brwiami wciąż gładzi szturmówkę. Obaj pogrążamy się w myślach.

Jakieś piętnaście minut później docieramy do wioski Księżej. Generał wyciąga kajet* i sprawdza adres.

— To chyba tam dalej — wskazuje palcem przed siebie jednocześnie zerkając na mapkę w prywatnym telefonie.

Ruszam we wskazanym przez niego kierunku. Jeszcze kilka minut i widzimy na ulicy zbiegowisko, zatrzymujemy rajdowóz*. Podbiega do nas kilka osób i krzyczą:

— Ratujcie, ludzie, bo ten debil pozabija całą rodzinę!

— Nowy, kurwa nie zapomnij drzwi mi otworzyć! — krzyczy prawy. No tak, już od miesiąca prosiliśmy, by ktoś w warsztacie komendy powiatowej klamkę naprawił, bo coś się zjechało i drzwi prawego trzeba otwierać z zewnątrz.

Zabieram kluczyki ze stacyjki, obiegam radiowóz i otwieram drzwi koledze. Ludzie patrzą i nie dowierzają, przecierają oczy ze zdumienia.

— Co za komedia — mówi jakiś gruby facet do rudej kobiety stojącej obok niego — co oni za auta mają...

Nie ma czasu tłumaczyć, że ten szajs już dawno się rozlatuje, a nowe samochody policja może dostanie w przyszłym roku. Chciałem coś powiedzieć, że inaczej nie da się wysiąść z tego wehikułu, ale już kolega podaje mi osiemdziesiątkę. Wyginam ją w łapach, tak jak jeszcze niedawno robił to Generał. Zatraskujemy drzwi i biegniemy pod górkę, gdzie stoi stara drewniana chatynka. Przed drzwiami leży dziecko i krwawi z rany na szyi. Obok klęczy płacząca kobieta przytulająca dzieciaka, także cała we krwi.

Kilkoro mniejszych bajtlów chowa się koło domu, płacząc i krzycząc:

— Maaamoo, maaamooo... maaaamoooo — brzmi mi w uszach.

Podbiegam do niej, wyrywam z kieszeni kamizelki taktycznej bandaż, rozrywam zielone opakowanie zębami i przykładam dziecku do ciętej rany na szyi, rzucam kobiecie krótkie:

— Gdzie on jest!? — Patrzę na nią, oczy podbite, wargę rozciętą w kilku miejscach, połamane zęby i krew na ustach. Kobieta, jedną ręką trzymając bandaż na szyi dziecka, drugą pokazuje w kierunku chaty. Tam znajduje się jej dom i sprawca awantury.

— Zamknął się w domu, panowie, zamknął się w domu! — krzyczy z płaczem.

— Niech pani przyciśnie ten bandaż dziecku do rany! — Ściskam szturmówkę mocniej, osiemdziesiąt centymetrów czarnej gumy daje pewność siebie i siłę. Kolega luzuje Walthera w kaburze i krzyczy do stacji, że natychmiast pogotowie potrzebne, bo są osoby poranione przez sprawcę domówki.

Podbiegamy pod chatę, sięgamy rękami do drzwi wejściowych. Żarty się skończyły. Generał łapie za klamkę, a ja stoję obok niego. Nagle drzwi wylatują z futryną, z ciemnego jak piekło przedsionka wyskakuje chłop, wielki jak byk i czarny jak murzyn. Wybiega z kosą* wprost na nas...

— Jeebaaneeee psyyy! — krzyczy, a w jego ręku błyszczy długi kuchenny nóż, którym celuje prosto w mój brzuch. Kolega odskakuje, ja w ostatniej chwili wyhamowałem,

ale nóż przechodzi gładko po paskach mojej kamizelki taktycznej, przecinając kilka z nich z prawej strony... Ułamki sekund, a wszystko wydaje się, jakby było w zwolnionym tempie, przez myśl przelatuje tylko — uufff, a było blisko brzucha. W tym momencie prawy śmiga szturmówką w plecy delikwenta tak, że aż huknęło na całe podwórko. Facet obraca się z głośnym jękiem w stronę, z której otrzymał cios:

— Kuuurwwaaa! — Nóż przecina powietrze i leci w stronę prawego. Teraz ja doskakuję do niego i zakręcam czarnulą* młynka, a w międzyczasie z całej siły kopię gościa w nogi i zanim chłop zdołał dotrzeć do kolegi z nożem, moja prawa noga ląduje w okolicy jego uda. Coś trzasnęło w kolanie bydlaka, giry się wygięły i poleciał jak długi na ziemię, nóż potoczył się dalej na trawę. Facet próbuje się poderwać z powrotem do góry. Podbiegam do niego i z całej siły ładuję w jego plecy osiemdziesiątką, ponownie na podwórku słysząc huk pały uderzającej w ciało. Ku mojemu zdziwieniu pęka flanelowa koszula gościa, a wraz z nią skóra na jego plecach. Krew trysnęła w górę, a zanim moje powieki opadły po okazaniu zdziwienia, obok mojej loli wylądowała czarnula prawego, jeeeebb!

— Aaaaałłaaa! — krzyknął awanturnik. — Aaałłaaa!

— A masz, chujuu! — krzyknął Generał i załadował pałę jeszcze raz na plecy gościa. Z całej siły skaczę gnojowi na plecy kolanami:

— Gleba, skurwysynuuu! — Prawe kolano przyciskam do karku w taki sposób, że morda tej gnidy zanurza się w piachu zmieszanym z psimi odchodami, zaś lewą nogą dociskam wykręconą już rękę spacyfikowanego gościa.

Awanturnik całuje ryjem matkę ziemię, mamrota coś i próbuje złapać powietrze, usiłując coś powiedzieć, ale go nie słucham, szum w uszach, kołatanie serca... To adrenalina powoli schodzi, szybka akcja i szybki koniec... Jeszcze raz z całej siły wykręcam ręce delikwenta, wyciągam kajdanki z tylnej kieszeni kamizelki i zakładam na nadgarstki gnoja. Te ledwie się zaciskają na jego rękach:

— Kurwa, nikt nie pomyślał o takich bydlakach — mruczę. — Kajdanki jak na niemowlaka, ja pierdolę! — dodaję głośniej i zaciskam zębki bransoletek*. Mimo wszystko zaobrączkowanie poszło sprawniej, niż przewidywałem.

— Booliii, poluźnij, kurwa — mamrocze facet. — Za ciasno — jęczy.

— Nowe to ciasne! Ponosisz trochę, to się rozciągną i będą leżały jak ulał — krzyczę mu do ucha.

Rozglądam się za prawym. Ten, w trakcie gdy ja obsługiwałem jeńca*, odskoczył, by pomóc matce. Widzę, że reanimuje dziecko, może sześć lat, to dziewczynka, matka przytyka jej bandaż do krwawiącej szyi, a Generał wykonuje resuscytację, trzydzieści uciśnień klatki piersiowej i dwa wdechy. Mała w trakcie naszej szamotaniny z jej ojcem straciła przytomność, być może w związku z wpływem krwi. Patrzę na kolegę, łzy kapią z jego oczu, duży chłop, twardy i płacze, widzę, jak szepta do dziecka, a może bardziej czytam z ruchu jego warg:

— Oddychaj... maleńka... oddychaj... — I znów trzydzieści uciśnień i dwa wdechy.

Czuję, że i mi łzy napływają do oczu, przecieram ręką, próbuję się opanować, ale nic z tego. Ojciec leżący pode mną,

jakby się ocknął, patrzy w stronę córki:

— Nie chciałem, Krysiu, nie chciałem. — Też zaczyna szlochać. Chyba to jedno łączy nas w tej chwili, strach o życie dziecka. Mam ochotę ubić tę ludzką gnidę, skutą i leżącą teraz na ziemi pode mną. Nie mogę, jestem policjantem... Nabieram powietrza, biorę głęboki wdech i wypuszczam ze świstem powietrze. Podnoszę się, zakładam swoją dłoń na łeb awanturnika, drugą zawijam pod jego rękę i szybkim ruchem wirowym wyrywam chwast z ziemi, przy okazji dociskając bransoletki na jego rękach do krwi. Wyje z bólu, ale mam to w dupie. To za dzieciaka — myślę. Spoglądam ostatni raz na dziewczynkę, płaczącą dzieci i matkę. Prowadzę zatrzymanego na dół do radiowozu, nie oglądam się za siebie, wolę nie wiedzieć, co się dzieje, i nie widzieć płaczącego kolegi reanimującego dziecko. To nie na moje nerwy, nie mogę pokazać ludziom na dole, że policjant płacze...

Pod samym radiowozem kilka osób doskakuje do prowadzonego przeze mnie faceta, ktoś strzelił go w pysk, ktoś inny kopnął w dupę...

— Dość — krzyczę — co jest, kurwa! Jak trzeba było pomóc rodzinie, to żaden dupy nie ruszył, a teraz skaczecie do niego, jak skutny jest! Paszoł won jeden z drugim, bo zaraz pałą zdzielię! — Na potwierdzenie swoich słów łapię w prawą rękę czarnulę i groźnie potrząsam im przed nosami. Ludki odsuwają się, ale pokrzykują i grożą pięściami zatrzymanemu.

— Jak masz na imię? — pytam gościa.

— Heniek — przedstawia się bydlak.

— Słuchaj no, Heniek, jak będziesz coś kombinował w radiowozie albo chociaż krzywo spojrzysz, to przysięgam Bogu, zajebię cię!

— Będę grzeczny, panie władzo. — Heniek spuszcza głowę.

Otwieram drugą klasę i ładuję grzecznego już awanturnika do środka, a sam siadam za kierownicą. Po pewnym czasie ciszę przerywa krzyk matki i dzieci dobiegający z góry. Ludzie biegną w tamtą stronę, by zobaczyć, co się dzieje... Ja już wiem, nie mogę się opanować, łzy same lecą... Chuj z nieplaczącym policjantem, krzywdą dziecka, a tym bardziej jego śmierć, zawsze boli. Po chwili podjeżdża karetka, wybiegają sanitariusze:

— Biegnijcie szybko — mówię przez łzy, a słowa ledwie wychodzą przez ściśnięte gardło, więc wskazuję im kierunek.

Sanitariusze biorą czerwone torby z erki i biegną pod górę.

Mija jakieś dwadzieścia, może trzydzieści minut, Heniek nie odzywa się ani słowem, śpi? Patrzę na niego, nie, oczy ma otwarte, ale jakby nic nie widział, takie szklane. Z góry schodzi Generał, wyciera powieki rękawem:

— Nic tu po nas — szepcze, wciąga powietrze i głośniejsze dodaje — jedź Nowy do KPP. — Otwiera tylne drzwi i siada obok zatrzymanego. Nie patrzy na niego, spogląda przez okno w górę, gdzie wydarzyła się tragedia, gdzie jeszcze przed chwilą walczył o życie dziecka. Ruszam spokojnie radiowozem w kierunku Kwaśnika, słyszę szloch prawego. Odjeżdżamy zaledwie kilkaset metrów, gdy z tyłu dobiegają mnie głośnie jęki zatrzymanego i szybkie sapanie Generała.

Patrzę we wsteczne lusterko, a tam prawy napierdala piąchą jeńca... Daję ostro po heblach, zatrzymuję samochód na poboczu, wyskakuję i biegnę do prawego. Otwieram drzwi i łapię kolegę pod rękę:

— Daj spokój, kurwa, daj spokój — krzyczę.

Prawy wyrywa się i okłada dalej pięścią w ryj Heńka:

— Skurwysyn zabił dziecko, zabił, rozumiesz Nowy!? — Chłopak wyje z rozpaczy i kręci z niezrozumieniem głową.

— Rozumiem. — Spuszczam głowę, wiedziałem, jak tylko spojrzałem ostatni raz na dziecko. — Ale to nic nie zmieni, przestań. Siadaj za kierownicę, ja z nim pojadę z tyłu.

Zamieniamy się miejscami, siadam obok Heńka, krew kapie mu z ryja. Nie patrzy na mnie, nie odzywa się, głowę skulił w ramionach i płacze. Łzy nie są jednak symptomem bólu. Do faceta zaczęło docierać, co zrobił. To prawy uzmysłowił temu draniowi, że zadźgał własne dziecko. Nie żal mi go, żal mi dziewczynki. Coś kapnęło mi na rękę, przecieram dłonią, oczy są mokre, odwracam głowę do okna, by gnój nie widział mych łez. Generał rusza z piskiem opon, łapie gruchę:

— 03 do 0—011... Szszszyy. — Szum stacji i ponowienie wołania: — ...03 do 0—011...

— Zgłaszam 03... melduj, co tam się działo...

— Wieziemy jeńca do KPP — mówi przez zaciśnięte zęby prawy — zabił własnego dzieciaka. — Zaczyna łkać. — Kuuurwaa, rozumiesz, ten skurwiel zabił swoją córkę... — Patrzę na niego, dopiero teraz widzę, że ma ręce we krwi, a na czarnym mundurze jeszcze ciemniejsze mokre plamy, to krew małej Krysi.

— Kurwa... — słysząc smutny głos dyżurnego KPP — dawajcie chuja tutaj, już wysłałem wam wsparcie*, oni zostaną na miejscu i poczekają, aż grupa* podjedzie i wykona czynności. Jak przyjedziecie, to wtedy wrzucimy go na bęben*.

— Zrozumiałem — odpowiedział prawy, odwieszając gruchę na miejsce.

Całą drogę milczymy my, milczy zatrzymany... Droga dłuży się niemiłosiernie. W końcu podjeżdżamy pod komendę, prawy wysiada i wyciąga Heńka za szmaty z rajdowozu. Za nimi wyskakuję ja, prowadzimy gościa zgiętego wpół, jedna ręka na karku, a druga wygina mu łapska do góry, ja z lewej, Generał z prawej. Jeniec jęczy z bólu, ale nic nie mówi, zagryza wargi. Przekraczamy drzwi komendy, na korytarzu stoją chłopaki z KPP, wszyscy trzymają w rękach lole, blondyny i inne gumy. Wyginamy gościa jeszcze bardziej głową do dołu, a dupą do góry i prowadzimy go przez szpaler utworzony naprędce przez tych, którzy zdążyli oderwać się od swej roboty. Chłopaki podbiegają do nas, pierwsza guma świszczy w powietrzu i trzaska w dupsko dzieciobójcy, potem druga i trzecia... Robi się hałas i zamieszanie, każdy chce zapłacić jeńcowi za zabicie własnej córki. Facet krzyczy z bólu, a w końcu popuszcza głośno w spodnie, niesamowity smród kału i moczu gryzie nozdrza... Co wrażliwsi uciekają do swoich pokoi i zajęć, kilku krzyczy na zabójcę dziecka, każdy jest wściekły. Różni tu już trafiali, mordercy, rozbojarze* i złodzieje, ale gdy na fabrykę* dostawał się ktoś taki jak Heniek, dzieciobójca czy pedofil, to w tych ludziach,

którzy niejedno przeżyli na swej służbie, wzbierały się gniew, złość i nienawiść...

Mimo rozmów z psychologiem nie dało się nad tym zapanować, człowiek kilka dni po czymś takim dochodził do siebie, a i tak wracało to wszystko w snach i życiu prywatnym. Podczas codziennych interwencji żał było zawsze jednego... Żał było nam dzieci, które cierpiały przez głupotę dorosłych. Żądza czynienia zła lub skrzywienia psychiczne powodujące, że dorosły krzywdził bezbronną osobę, dziecko... To było dla wielu z nas nie do pomyślenia, nie do pojęcia...

— Wy na górę pisać notatki, rozpisać kajety i całą resztę! Tylko ładnie mi opisać trzepanie sierści* — krzyczy do nas dyżurny z dwukropkiem* — tym zasrańcem zajmie się inny patrol. Kazek, wołaj 014, podjadą z trzecią klasą* i zawiozą gnoja do łapiducha*. Niech go sprawdzi, czy może dziś nocować w chlewiku* — woła do drugiego zaglądnącego przez okienko z grzyba, w stopniu szaszłyka*.

— Wiesiek, kurwa, są na dzwonie*, ponoć kupa złomu* tam jest — mówi opanowanym głosem i woła w stację: — 014 do 03, zgłoś się! — Słysząc trzaski i jakieś głosy: — No, jak mówiłem, oni nie przyjadą, może z Farnego ściągnę 09, oni mają kabarynę*, to przewiozą śmierdziela.

— Ok, rób tak, żeby było dobrze, i jak przyjadą, odpraw ich do przewozu* — machnął do Wieśka ręką — ja idę do starego* zdać relację, żeby szumu nie robił, wrzucić jeszcze tego ciula na bęben i sprawdź, co to za jeden. — Zatrzymał się w połowie schodów i krzyknął do chłopaków patrzących groźnie na dzieciobójcę: — Locha i Brudas, weźcie tego śmierdziela na sieczkarnię*, niech dmuchnie

w rurę* i pilnujcie go tam. — Pokiwał palcem i poszedł, ciężko stąpając, na drugie piętro.

Spojrzelśmy po sobie z Generałem, ten wzruszył ramionami i udał się do pokoiku, w którym urzędowała patrolówka. Widać było po nim zmęczenie fizyczne i psychiczne, po tym wszystkim, co się stało. Od czternastej jeździliśmy w zmoście*, a było już koło dwudziestej. Kilka interwencji, KMZ-tów* i parę patroli pieszych w miejscach, gdzie lokalne chlory* spożywały jagodziankę* lub wino marki „Chateau de la Tur”*, a później leżakowali* pod czyimiś drzwiami lub w korytarzu któregoś bloku. Prawy wskoczył do toalety zmyć z siebie krew, po czym obaj zasiedliśmy na drewnianych taboretach w pokoju pełnym metalowych szaf zwanym pokojem patrolowców:

— Ty rozpisuj kajet, a ja ogarnę papierologię na tym pudle. — Wskazałem głową rozpierdolony monitor KFC 15” z odstającą dupą od komputera, sprzęt najnowszej generacji w tym rejonie komisariatu powiatowego — NTT Bolero 500 z roku bodajże dwa tysiące pierwszego. Jedyne w wydziale patrolowym przeznaczony do pisania notatek, pism i raportów. Nikt nie martwił się tym, że patrolowcy nie mają porządnego komputera, który usprawniłby pracę.

— Dobra — zgodził się prawy — ja nie ogarniam tego sprzętu, mi się ciągle wyłącza. — Zdjął pas z bronią i pierdolnął na blat stołu, wyjął kajet z bocznych kieszeni spodni i zaczął rozpisywać interwencję.

Zasiedliśmy więc do papierkowej roboty, od czasu do czasu wymieniając jakieś uwagi, w międzyczasie doszedł do nas dwusuw* krawężników*, którzy skończyli zdzieranie butów*. Nikt nie pytał o przeprowadzoną interwencję,

widzieli nasz wkurw... Któryś wyciągnął z metalowej szafki kawę, inny przyniósł kubki, nastawiono wodę i powoli, po cichu zaczynali z nami rozmawiać. Papierologia nie szła, komputer zacinał się i wyłączał, co kilka zdań trzeba było zapisywać treść, bo się resetował. Co minuta było słychać:

— Kuurwaaa! Ja pierdolę! Chuj jebany! — I tak w kółko, szlag trafiał człowieka przy pisaniu na takim sprzęcie. Moje przebogate słownictwo przesiąknięte starożytną łaciną ściągnęło jeszcze kilku kolegów, którzy zaczęli kibicować mi w walce z komputerem i czasem, jaki poświęcałem na sporządzanie notatek. Aż w końcu monitor zgasł.

— Co jest, do kurwy nędzy!? — zadałem retoryczne pytanie. Zupełnie jakbym oczekiwał, że ciemny monitor mi odpowie. — Żeby nie było porządnego sprzętu w komendzie powiatowej?

— Ty, kurwa, sprzęt chcesz, a nawet papieru do dupy nie ma, nie wspominając o tym do drukarki — rzucił Ataman.

— Długopisy wydzielają po jednym, jak mają, i to trzeba podpisać, że go dostałeś — dodał Kulas — ostatnio dostałem od łaskawcy kierownika jeden długopis. I wiecie co? Tym samym długopisem musiałem mu pokwitować, że go otrzymałem.

— Ha, ha, ha, ha... — Wszyscy się z tego śmiali, ale to nie był żart, tak było, takie były realia pracy.

— Wiadomo, komediant sobie klimę sprawił w pokoiku, prysznic, kurwa, Bizancjum jak u Maja w KGP, a my sami musimy kupować długopisy, papier do drukarek, korektory, a nawet sraj taśmę — zaczęli narzekać wszyscy znajdujący się w pokoju, słychać było żal i jakąś taką

dezaprobatę względem tego, co dzieje się w komendzie i całej policji.

— Wszędzie tak jest — dorzucił Żwirek — w całej naszej jebanej firmie chujnia, tylko ci na stołkach klepią się po pleckach i premię biorą.

— Czekaj — Waluś wstał, chłop wielki, granatem od pługą oderwany, podszedł do mnie i powiedział: — Odsuń się Nowy — po czym łapami jak bochen chleba z całej siły zajebał w boki monitora. Ten zatrzeszczał jakby krzyczał „za co?!” i o dziwo rozbłysnął na nowo. — Tak się to robi — skwitował Waluś.

Chłopaki pokiwali z aprobatą głowami, a ja zrozumiałem, skąd te uszkodzenia na obudowie monitora.

— Dzięki, kurwa, mam nadzieję, że nic się nie wykasowało, bo inaczej się wkurwię... — powiedziałem. — Generał, zmontujemy coś* po szychcie*, nie dam rady dziś spokojnie zasnąć.

— Jasne, który podrzuci nas do źródelka*? — zapytał.

— Po co do źródelka? Kurwa, Nowy, mówisz i masz. — Gałka poderwał się ze stołka, mrugnął do mnie porozumiewawczo i zniknął w drugim pomieszczeniu. Za nim pobiegł Żwirek, po chwili wrócili z bardzo zadowolonymi minami. Gałka taszczył w lewej ręce plecak, z którego wyjął trzy litrowe butelki wódki:

— Miałem zajechać do szwagra, ale chuj mu w dupę, poczeka, a my tu o suchym pysku nie będziemy siedzieć. — I postawił butle na biurku przy monitorze. — Kulas, leć po szklanki — wydał polecenie koledze, z którym dziś zapieprzał w dwusuwie.

— A ja — Żwirek pokazał półlitrowy flakon — miałem chęć dziś film obejrzeć. — Postawił butelkę obok pozostałych i otworzył reklamówkę, którą trzymał w drugiej dłoni. — A tu coś na zagrychę — powiedział, wydając trzykilowe pęto swojskiej — i coś do popicia — dodał, wyciągając półlitrową butelkę coli.

Wszyscy spojrzeli po sobie:

— Łłłłaaaachchcaaaachchaaa — parsknęli śmiechem. Chłopki kiwali się na krzesłach i podrygiwali ze śmiechu. — Łłłaaaachchcaaahchchaaa, kuuuurrwaaa, jaaa pierdooole — niosło się po korytarzu. Trzy i pół litra wódki na siedmiu i półlitrowa cola...

— Ha, ha. — Waluś aż płakał ze śmiechu. — Z chujem się na łby pozamieniałeś? Ha, ha ...

— No co się śmiejecie? — Żwirek zapytał, jakby nie wiedział, o co chodzi. — Kurwa nie chcecie coli, to nie! Sam wypiję...

— Łłłaaaachchcaaa — ponownie rozniosło się po korytarzu komendy...

Wybuch śmiechu przerwał telefon stojący na parapecie:

— Melduję się — krzyknął do słuchawki Waluś, który był najbliżej i odebrał telefon — a nie pierdol, Wiesiek, tylko chodź na górę. Kazek chwilę posiedzi na grzybie sam.... — Wszyscy zamilkli i spojrzeli na rozmawiającego jak na debila, każdy wiedział, że ten rozmawia z dyżurnym... Waluś, jak gdyby nigdy nic, dalej nadawał do słuchawki. — No nie pierdol, tylko chodź... zobaczysz... — Trzasnęła słuchawką. — Co tak się lampicie? — Szybko załapał o co nam wszystkim chodzi. — Wiesiek nie podpierdoli, nie bójcie się, a stary już do domu pojechał... Młody,

zapierdalaj po kubki i szklanki — powiedział do niedawno przybyłego z fabryki oficerów* posterunkowego. — Nastawcie wodę, to popijemy herbatą.

— Kurwa, gorącą herbatą mam popijać? — zapytałem.

— Mogę ci wody z sedesu przynieść, zimna! Ha, ha — zaśmiał się, a po nim jeszcze kilku. Widać wiódł prym wśród tutejszych szturmowców*.

— Weź mnie nie wkurwiaj, Waluś...

Ten wstał, poklepał mnie po ramieniu:

— No już... nie gniewaj się. — Złapał pierwszą flaszkę, trzasnął ją wielką łapą w denko, aż bąbelki poszły w butelce. Odkręcił szybkim ruchem korek, postawił butlę na stole, złapał dwie szklanki, które przyniósł Młody. Nie były pierwszej czystości, więc spojrzał surowo na posterunkowego. — Kurwa, następnym razem umyj — skarcił go, po czym wyjął koszulę z munduru ze spodni. Chuchnął w szklanki i wytarł je swoją granatową służbową koszuliną. — O, i szkło czyste. — Polał do dwóch sporych lampek po połowie i podał je Generałowi i mnie, mówiąc: — Chłopaki piją pierwsi — po czym zwrócił się do nas, podając szkło: — Zasłużyliście za spacyfikowanie zasrańca...

Prawy złapał szklanice, a ja swoją i cyk do gardziola... W tym momencie naprzeciw mnie w drzwiach stanął dyżurny Wiesiek. Wszyscy spojrzeli w jego stronę, a później na Generała i na mnie. Prawy siedział tyłem, nie zauważył wejścia dwukropka, a mi wódka stanęła w gardle, oczy się zaszklify, zapiekło i spora zawartość szklany poszła nosem na mundur... Teraz wszyscy spojrzeli w moim kierunku, ale nie wiedzieli, czy się śmiać, czy uciekać...

— Kurwwwaaaa! — krzyknąłem, wycierając usta i nos rękawem bluzy.

— Czysta wódka munduru i honoru policjanta nie plami — powiedział stojący w drzwiach Wiesiek, parodiując generała Wieniawę-Długoszowskiego. — Nie stresuj się, kurwa, dajcie chłopakowi jeszcze raz, bo mu wszystko poszło w pizdu.

— Mówiłem, że on jest w porządku — pochwalił samego siebie Waluś. Złapał moją szklankę i ponownie nalał połowę, podając ją prosto w moje ręce. Drugą szklankę odłożoną przez Generała również napełnił i podał dyżurnemu. Dwukropek złapał ją łapczywie, mlaskając przy tym i oblizując wargi:

— Wasze zdrowie, chłopcy. — I hyc szklana do ust.

Poszedłem w ślady oficera. Prawy urwał z pęta kawałek kiełbasy i podzielił go na trzy części, jedną wrzucił do swych ust, drugą dał Wieškowi, a trzecią mnie. Waluś czynił teraz honory gospodarza w pokoju patrolowców i polewał w te same szklanki. Ponownie podał ją dyżurnemu, a drugą wziął sobie:

— Na drugą nóżkę Wiesiu, i spierdalaj — powiedział do oficera — bo chłopaków stresujesz, he, he — zaśmiał się — chlup w ten głupi dziób... aaaaaalllee dobreee...

— Dzięki chłopaki, tylko żeby spokój był. — Dwukropek obrócił się w progu na pięcie i dodał: — Nic nie rozpierdolcie, bo stary z rana będzie. Generał, jak będziecie kończyli, to notatki do mnie...

Waluś zatarł ręce:

— No dobra, teraz następni. Młody, twoja kolej...

— Nie, ja nie... — protestował Młody

— Uuuuuu!ł, uuuuuu!ł ... — zamruczeli wszyscy groźnie.

— No, Młody, nie leć w chuja — dało się słyszeć...

— Może strzela z ucha*? — ktoś zapytał...

— Tu albo pijesz i jesteś z nami, albo spierdalaj! — dodał Gałka

— Nie poodpieerdaalammm — przeciągnął piskliwym, wystraszonym głosem Młody — i jestem z wami, daj, kurwa, tę szklanę. — wyciągnął rękę do Walusia.

— No i to nam się podoba — powiedzieliśmy chórem — dajesz, Młody — dodał Gałka.

Młody chlusnął szklanę na raz do gardła. — Bbłłeee — odbiło się posterunkowemu i poliki mu nabrzmiały jak chomikowi.

— Tylko nie rzygnij! — krzyknął Waluś, na wszelki wypadek odsuwając się od chłopaka... Ten wyciągnął rękę przed siebie, jakby pokazywał, że wszystko jest w porządku, i połknął cofkę...

— Łłłłeee, kurwa, ha, ha. — Jedni zareagowali ze śmiechem, a inni z obrzydzeniem na połknięcie cofki przez Młodego.

— Chuj, co chcecie? — zapytał Generał. — Grunt, że nie chlusnął rzygiem dookoła...

Teraz wszyscy się śmiali i klepali Młodego po plecach, że nie jest zły chłop, że jest nasz, znaczy się swój, podkreślali:

— Będzie z ciebie jeszcze porządny policjant...

Teraz każdy po kolei walił po pół szklany, kilku wyjęło papierosy i zapalili, atmosfera zgęstniała. Otworzono okno, woń dymu i alkoholu niosła się po komendzie, a coraz

głośniejsze rozmowy odbijały się echem od murów budynku. Rozmawiano o wszystkim i niczym, ten opowiadał o panience na boku, tamten o kredycie, a inny, że policjanci chuja zarabiają. Wymieniono kilka zdań o premiach dla przydupasów, podpierdalaczy i że jak zwykle reszta dostanie jakieś ochłapy lub w ogóle nic.

Skończyliśmy pisać z Generałem papiery. Powoli kończyła się też wódka, gdy do pokoju wpadł Locha i Brudas:

— No kurwa, oni piją, a my za nich robotę odpierdalamy — powiedział ze złością Locha — co jest, kurwa, my śmierdziela musieliśmy wozić po łapiduchach i go na dołek osadzać, a wy tu...

— Zamknij mordę — powiedział spokojnie Generał, podnosząc się z taboretu... Jednak zmarszczył groźnie brwi i zacisnął pięczę...

— Spokojnie, chłopaki. — Zatrzymał go Waluś, łapiąc za rękę mojego kolegę, nie chciał zadymy na pokojach prewencji. — Walnijcie po szklanie i pojedziemy do źródelka, coś jeszcze zmontujemy. — Nalał przybyłym to, co zostało, i podał. — Poza tym pretensje nie do nich, a do Wieśka on kazał wam zająć się śmierdzielem. Oni mieli skończyć notatki... Czy nie tak było? — zapytał innych.

— Tak było — odpowiedzieli ci, co słyszeli wcześniej rozkaz dwukropka.

Przybyli spojrzeli po zebranych, mruknęli coś do siebie, stuknęli szkłem o szkło i wychylili je do dna.

— Teraz to mi smaka narobiliście. — Locha odstawił szklaną, po czym zapytał: — Okej, to kto jedzie do źródelka?

— Niech Nowy z Generałem zanosą papiery i jedziemy — szybko odparł Waluś — i tak już grubo

po szychcie. — Wstał, zebrał szkło, za nim wstała cała reszta, kilku od razu powiedziało, że nie jedzie, bo muszą do domu. Jednemu dzieci płaczą, a drugiemu żona nad głową będzie głądzić, zaś jeszcze inni, że na szóstą rano mają służbę.

Towarzystwo stoczyło się na dyżurkę, oddali papiery:

— Wiesiu, 11—016 zawiezie nas do źródelka, tylko ich później nie wołaj! Bo ktoś musi nas zawieźć do domów i żeby potem chłopakom opelka odstawili do KP...

— Dobra, ale klamki zostawiacie na dyżurce — powiedział nieznoszącym sprzeciwu głosem dwukropek — nie chcę, kurwa, żeby jakaś strzelanka była po pijaku, później będą napierdalać, że milicja pije, a i tak już w mundurach jedziecie...

Nikt go nie słuchał, każdy po kolei kładł pas z bonią na blat okienka i wytaczał się na plac za komendą.

Kilkanaście osób zdecydowało się jechać do źródelka. Nowy, Generał i Waluś zapakowali się do drugiej klasy radiowozu i kazali wieźć na Kościelną, gdzie stał całodobowy i był duży wybór alkoholu. Locha i Brudas zabrali do swoich samochodów jeszcze kilku chłopaków, nie bacząc, że przed chwilą walnęli po pół szkalny wódki, i pojechali za radiowozem. Wszystkie samochody stanęły za sklepem o nazwie „Ostatni Grosz”, zebrano kasę, od każdego po trzydzieści złotych...

II

Źródełko...

Aspirant...

— 11—016, zgłoś dla 03 — zawołał głos w stacji.

— Zgłaszam dla 03. — Ściągnąłem gruchę z wieszaczka przy drążku biegów.

— Zawieziesz naszych w pilnej sprawie i zostaniesz do ich dyspozycji do odwołania.

— Okej, to jedziemy do bazy*. Pastorał, słyszałeś, zapierdalaj na komis... — Kierowca radiowozu ruszył z piskiem, paląc przy tym gumy w Škodzie Octavi. Z rynku nie było daleko do komendy i już po chwili patrol stanął na placu wewnętrznym. Beton zamiast asfaltu, stare przeciekające garaże, w których trzymane były radiowozy, i drewniane bramy, które się nie domykały albo zamykano je jak obory na wsi, czyli na łańcuch i wielkie kłódki.

Do radiowozu wpakowali się chłopaki, woń alkoholu owiała Aspiranta i Pastorała. Do trzeciej klasy weszło trzech kolegów w mundurach:

— Wieźcie nas do źródelka, chopocki — rzucił Waluś, trzaskając drzwiami.

— Kurwa — krzyknął lewy* — nie trzaskaj, bo szyba wylata z tej strony! Do którego źródelka? Za rynkiem do „Ostatniego Grosza” czy do „Leżącej Świni” przy zalewie?

— Wieź, gdzie bliżej!

Ponownie pisk opon, kilka bączków i dym palonych gum na placu pożegnał stojących i pakujących się do cywilnych samochodów chłopaków. Popatrzyli tylko za odjeżdżającym rajdowozem i co niektórzy postukali się w głowę, że ten, co za kierownicą, to ma we łbie najebane...

— Heee heeee — zarechotał kierowca, włączył bulaje i zapierdala przez miasto.

— Ty, a nie pojebało ci się? — zapytałem.

— Chłopakom się spieszy, widzisz, że spragnieni — powiedział, po czym zapytał siedzących z tyłu: — Nowy, a co to się dziś działo w Księżej?

Nowy spojrzał na kierowcę, jakby chciał go udusić:

— Chujnia była — zaczął Generał — ojciec zabił swego dzieciaka, mała miała może sześć lat... skurwiel jebany...

Wszyscy zamilkli na chwilę, było tylko słyszeć wycie koguta i turbinę wyjąca, gdy Pastorał wcisnął gaz do dechy. Każdy miał dziecko, każdy był ojcem, każdego ścisnęło teraz w gardle... Przejechali tak w ciszy pod sam sklep, zatoczyli koło i stanęli z tyłu, żeby nikt z ulicy nie widział, że tylu ludzi w mundurach. Chłopaki wytoczyli się z drugiej klasy, a za chwilę podjechały dwa samochody cywilne, po czym zebrała się grupka, szybka wymiana zdań i zrzuta po trzydzieści zeta. Kilku chętnych ruszyło do sklepu

po alkohol, popitę i coś na ząb. Wraz z nimi poszedł kierowca...

— A ty nie miałeś mieć dziś wolnego? — pyta się mnie Nowy.

— No, kurwa, miałem, ale zadzwonił Wiesiek, że Jebaka zachorzał, i ściągnęli mnie do roboty... — odparłem.

— Pewnie Jebaka znowu zakisił ogóra* nie w tej szparce, gdzie trzeba, ha, ha — zaśmiał się Gałka.

— Ha, ha, ha — śmiali się wszyscy.

— Są dwie opcje: albo dostał po ryju od zazdrosnego męża, albo znowu coś załapał — śmiał się Nowy.

— Jebaka ze Żwirkiem i Pastorałem powinni założyć jakąś męską agencję towarzyską, bo oni nie przepuszczą żadnej dupie... — skwitował. — O! Patrzcie, właśnie idzie Żwirek z Pastorałem i ciągną jakieś marysie* do nas.

Wszyscy spojrzeli w stronę nadchodzących, czterech chłopa w mundurach i jakieś dwie laseczki. Obie odjebane jak na otwarcie kanału, mini i bluzeczki z głębokim dekoltem... Zanim ktokolwiek coś powiedział, już z daleka krzyknął do nas zadowolony Żwirek:

— Patrzta, kogo spotkaliśwa. Prytka i Czarna winko kupowały, to je do nas zaprosilek, co bedo jakiegoś muzgojeba piły? Niech się aby napijo porządnej wódeczki, a nie...

Prytka i Czarna były naszymi koleżankami z firmy, jak same przyznały, miały ochotę pójść dziś do jakiejs knajpki, zabawić się trochę, poznać fajnych kolesi i może bzyknąć któregoś, jak im się spodoba. Wcześniej na odwagę kupiły wino i oczywiście w sklepie spotkały wspólnych znajomych, czyli Żwirka, Pastorała i nas.

Locha puścił z radia Błękit Policyjnych Lamp i z głośników na fula poleciało *Policja was Jebie...* Waluś już lał gorzałę w szklany, które zabrał ze sobą:

— Aspirant, a wy z Pastorałem łykniecie?

— Nie, pojechało cię? My do rana musimy was pilnować — zaśmiałem się.

— Nie — mój lewy odparł z żalem, patrząc przy tym pożądliwie na butelki, przecierając jednocześnie dłonią usta i oblizując spierzchnięte z pragnienia wargi. — Nie tym razem, jeszcze radiowóz Nowego musimy odwieźć. — Pokręcił niezadowolony głową, po czym przysunął się do Czarnej, która oparła się o samochód i zaczął jej coś szeptać do ucha, kładąc czule rękę na odsłoniętym udzie.

— A ty żony nie masz? — Zapytał Młody.

— A w mordę chcesz? — Pastorał ostro zjechał pytającego. — Na chuj się wpierdalasz? Pytał się ciebie kiedyś o coś ktoś? No to morda w kubeł...

Czarna zaśmiała się, a cała reszta za nią. Z drugiej strony stał Żwirek z Prytką:

— Ty fajno dziewczyno jesteś, tak bez munduru to łód razu lipiej ci. Aż mam chęć cię schrupać... — i zaczął do niej kłapać zębami jak rasowy pies.

Prytka chichotała się zalotnie i flirtowała z rozmówcą:

— Taaak, a co byś zrobił Żwirku?

— A łogarnąłbyk pajęczynę między twoimi nogami mała, i aby wytrzepał sakiewkę, aż do łostatniego grosicka...

— Łaahchahaha, łachchaaahaha ... — ponownie rozległ się nasz śmiech, który zagłuszył muzykę i poszczególne rozmowy...

W tym momencie usłyszeliśmy jakieś krzyki, które dochodziły od strony wejścia do sklepu i nim ktokolwiek zdążył coś zrobić, wprost na nas biegło dwóch mężczyzn. Nie było nas widać, bo za sklepem nie świeciła się żadna lampa, a tylko lampki zapalone w samochodach, tak by nikt nie widział, że za sklepem raczą się alkoholem policjanci. Jeden wpadł wprost na Walusia, wytrącając mu z rąk flaszkę, która z głośnym brzękiem rozbiła się o asfalt. Szkło rozbiło się z brzękiem, a woda poleciała na nasze buty i spodnie. Jej ostry aromat jeszcze bardziej nas wkurwił.

— Kuuuurwwaaaa — krzyknął Waluś z nieukrywanym żalem.

Drugi w szybkim biegu potrącił Atamana, który wyrznął głową o samochód Lochy. Za nimi biegł właściciel sklepu:

— Panoowieeee łapaaaććć! — krzyczał na całe gardło. — Zaajjeeeballiii mii pieeniądzeeee z kasy!

Siedzący w swych samochodach Locha i Brudas zapalili światła mijania, to samo zrobił Pastorak w radiowozie.

Dwóch dżentelmenów stanęło jak wrytych, naprzeciw siebie mieli kilkunastu mundurowych. O mało nie zemdleli, widać było, jak im miny rzedną. W dodatku gdzieś w tle z samochodu dobiegły cichutko bity „pałą w żebra, but na mordę...” — tak, Locha zdecydowanie za często puszczał tego hiciora. Teraz śpiewał ją Ataman z Gałą i Brudasem, patrząc groźnie na dwóch gości po trzydziestce, którzy nieświadomi niczego wpadli wprost na nas. Nie zamierzali już uciekać, ręce i cycki im opadły na nasz widok, a odwaga, jaką mieli okradając właściciela sklepu, ulotniła się jak bąk w spodniach. Jeden od razu wyjął z kieszeni zwitek pieniędzy i położył na ziemi, podniósł ręce do góry:

— Ja niewinny, pan, ja niewinny — zaciągnął ze wschodnim dialektem ten bardziej bojący się.

Ruszyłem do przodu, podcięcie nóg i chwyt za gardło, facet zrobił wielce widowiskowego fikołka w powietrzu lądując na glebie. Teraz dopadł go mój kierowca, wywinął mu ręce do tyłu i fachowym ruchem skuł łapska. Obaj podnieśliśmy go i rzuciliśmy na maskę radiowozu:

— Ja ruski, pan, ja ruski, ja chciał adwokat... — gawarił coś do nas zatrzymany.

— A ja nie panimajuu, ty gawarii pa polski, a nie jakiś duracki jazyk — szprechał do niego Pastorał ni to po rusku, ni po polsku. — A kraść w polszy ty umiał? To i gawarit sie w ciurmie* nauczysz!

Drugi miał mniej szczęścia, rozbił flaszkę Walusiowi, a on takich rzeczy nie darował. Złapał nieszczęśnika za koszulkę i przyciągnął wielką łapą do siebie, zaczął na zmianę napierdalać go po twarzy to z liścia, to „z dziwki*”. Chłopaki śmiali się z zabawnej sceny i komentowali całe zajście. Zaś Gałka zanucił na cały głos:

Liście lecą z drzew

Liście lecą z drzew

I tak stoi nieszczęsny złodziej

Okładany przez liście lecące z drzew

Liście lecące z drzew

I z liściem na ryju siądzie w radiowozie

Nikt go nie poratuje nikt mu nic nie powie

Tylko się każdy gapi

Tylko się każdy gapi i nic...

— Ha, ha, ha — chłopaki ryczeli ze śmiechu, stukając przy tym butelkami i szklankami, pijąc zdrowie Walusia i kibicując za każdym uderzeniem w łypę*...

W tym czasie podszedł do nas sklepowy:

— Całe szczęście, panowie, że tu byliście, no skurczybyki mnie już drugi raz okradli — żalił się — ten to Polak, znam jego matkę... — Wskazał palcem na okładanego właśnie nieszczęśnika. — Macie u mnie kolejne dwa litry w nagrodę — powiedział i poszedł po flaszki do sklepu.

— Huuurraaa — krzyknęli mundurowi zachwyceni wdzięcznością sklepikarza.

— Łap — rzuciłem bransoletki specowi od „sprzedaży jesiennych liści” — i dawaj go tutaj...

Waluś ostatni raz trzasnął porządnego liścia z otwartej łapy złodziejowi, złapał w locie bransoletki i wywinął trzymanego człowieka jak kukiełkę, zapiął kajdanki na rękach i docisnął.

— Aaaa, ssss — syknął z bólu chuligan.

Odprowadził go do radiowozu, Pastorał otworzył drzwi i czekał. Waluś złapał złodziejaszka za kark, a drugą ręką za pasek od spodni i wrzucił do drugiej klasy na kolana ruskiego, który już tam siedział. Spojrzałem na niego i się zaśmiałem, gęba bandziorka była czerwona jak burak, bo ten, który go okładał, to miał dłoń jak bochenek chleba.

— Ha, ha, jutro będą skutki, będziesz wyglądał z rana jak chomik, ha, ha. Pakujemy się i jedziemy, a wy tu nie rozrabiajcie. — Spojrzałem na kolegów. — Może dwukropek wam kogoś innego przyśle, to was rozwiezie.

— Aspirant, a nie zapomnijcie o nas, jak premię dostaniecie za tych dwóch złapanych na gorącym

uczynku! — Krzyknęli Ataman i Żwirek.

— A już ci, nie zapomnimy, ale widzę, że wasza premia już idzie. — Wskazałem na człowieka niosącego cztery połówki najlepszej wody, jaką miał na sklepie.

Pastorał złapał jeszcze szybko Czarną wpół i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przycisnął do siebie. Jedną ręką obłapił ją mocno za cycka, aż pisnęła, a drugą wsunął z tyłu pod kieckę, łapiąc za tyłek, i pocałował, wsuwając swój jęzor do jej ust.

— Łułłuuuuu łłuuuu — zawyli wszyscy — łuuułuu.

Czarna się nie wyrywała, widać jej się spodobało, chwilę jeszcze tak stali, aż lewy się od niej oderwał:

— Masz mój telefon, jak coś, to wiesz! — krzyknął i zapakował się do auta.

— 03 do 016, zgłoś...

— Szszszyyy, zgłaszam 16, co jest?

— Mamy dwóch złodziejasków, na gorącym ich chwyciliśmy — szybko czekałem do gruchy — kradzież z kasy sklepowej w całodobowym „Ostatni Grosz”.

— A co wy tam robicie, chłopcy... — w radiu dał się słyszeć głos komedianta Capa.

— A ten skąd się wziął o tej porze na fabryce? — zapytałem zdziwiony lewego. — Przecież, kurwa, do domu polazł...

Pastorał wzruszył ramionami:

— Powiedz, że patrol tu mieliśmy.

— Patrol tu mieliśmy, komendancie. — Popatrzyłem na kolegę.

— A dlaczego kłamiecie, Aspirancie, ja tu, kurwa, rozpiskę mam i widzę, że nie wasz rejon! — stary

już krzyczał.

— Kurwa, Wiesiek mu nie powiedział, że tu jesteśmy!? — Podniosło mi się ciśnienie, zaś do gruchy dodałem: — No pić nam się chciało, a sklep niedaleko, to na chwilę Pastorał zjechał i akurat na gorącym mamy dwóch złodziei...

— Pić wam się chciało? Dawać mi tu na bazę raz-dwa! — krzyknął do stacji nasz rozmówca.

Otworzyłem szybkę i krzyknąłem:

— Spierdalać, ale już, bo stary wrócił do komendy i szuka problemów, pewnie ktoś już podpierdolił, że piliście w patrolowni... — Następnie spojrzałem do tyłu na zatrzymanych i powiedziałem: — A tylko słowo powiecie, to wpierdol! — Pogroziłem palcem.

— Nic nie widzieliśmy, panie władzo — obaj odpowiedzieli zgodnie, jeden zaciągając po rusku.

— Dobra, to jedziemy.

Lewy zawinął bączka pod sklepem i ruszył żwawo w kierunku wskazanym przez komendanta...

— Co teraz? — zapytał.

— Jak co? Nic, kurwa! Normalnie byliśmy na patrolu i zajechaliśmy po picie.

— Okej.

— Okej — odpowiedziałem, uśmiechając się.

Weszliśmy z zatrzymanymi do komendy, obaj dziarskim krokiem i z pewnymi siebie minami. Przy okienku dyżurki stał stary, dwukropek ukrywał się gdzieś z tyłu i pokazywał do nas palcem, mrugając przy tym porozumiewawczo oczami, żeby nic nie gadać. Jego pomocnik wychylił się do połowy i rozmawiał z komendantem.

— O! Są, komendancie. — Wskazał nas głową.

— Chodźcie no tutaj — mówiąc to, sam się zbliżył w naszym kierunku.

— No i podszedł, no i co? — powiedziałem żartobliwie, próbując wybadać humor starego.

— Nie dowciapkuj, Aspirant, nie dowciapkuj, bo zobaczysz — zagroził. Zaczął nas obwąchiwać. Chyba nie był w sosie, wyczułem zamiar przyjebania się o byle gównu.

— To już wiem komendancie, dlaczego na nas psy mówią — powiedział Pastorał.

— Taaak, a dlaczego? — spojrzał z ciekawością na mojego kierowcę.

— No jak komendant nas obwąchuje na przywitanie — zaczął powoli mówić lewy — to jeszcze wystarczyłoby, żebyśmy razem z kolegą ogony podnieśli i nasrali na środku korytarza. — Spojrzałem na niego i ledwo powstrzymałem się, by nie parsknąć śmiechem. Pastorał mówił z pełną powagą, patrząc staremu prosto w oczy: — A później, jak psy mają to w zwyczaju, powinien pan wytarzać się w tym albo jeszcze dupy nam obwąchać, a nie tylko gębę. — W tym momencie komendant spurpurowiał, wyglądał, jakby zaraz miał mu dym pójść uszami. Przysunął się do lewego i już miał coś powiedzieć, gdy:

— Bbeeeellleee. — Odbiło się długo i przeciągle Pastorałowi, prosto w twarz starego. — Blee. — Jeszcze dodał krótko...

W tym momencie nie wytrzymałem, parsknąłem śmiechem, a za mną zatrzymani i dyżurni. Tylko lewy stał

całkiem poważnie, drapiąc się po głowie i jak gdyby nigdy nic, spoglądając na wściekłego Capa, dłubiąc przy tym palcem w nosie.

— Jaaa pieeerdooole, co za, kurwa, chamstwo, ty świnió pierdolona...! — Rozdarł się stary, plując przy tym na wszystkich wokoło.

Odsunąłem się z zatrzymanymi dwa kroki do tyłu. Komendant przybliżył się do Pastorała i darł mu się prosto w twarz:

— Ja cię, ja cię... będziesz szlifował bruki do końca życia, ty, ty...!

— Komendant mnie nie straszy i nie pluje. — Wytarł twarz rękawem. — Chodziłem za poprzedniego komendanta i jeszcze za poprzedniego, to i teraz mogę. Komendantem się bywa, a policjantem się jest. — Spojrzał Capowi prosto w oczy. — Przeżyjemy i pana, prędzej czy później pójdzie pan na emeryturkę i się gdzieś spotkamy...

— Teraz ty mnie straszysz! — krzyczał wściekły. — Słyszeliście? — Rozejrzał się dookoła.

— Ja nic nie słyszałem — pokręciłem głową, wciąż się śmiejąc. — A wy, chłopaki? — zapytałem złodziejasków.

— My też nic — odparli ponownie chórem. A oni co? Bracia? — pomyślałem.

Stary spojrzał na dyżurkę, ale zanim to zrobił, to Kazeł już zamknął okienko i schował się za monitorem komputera, udając, że nic nie widzi ani nie słyszy. Jak te trzy małpischony, co sprzedają w pamiątkowym na osiedlu u Bogusia — przemknęło mi przez głowę — nic nie słyszę, nie mówię ani nie widzę. Widać było jak łby się trzęsły ze śmiechu dyżurnym.

— Za pół godziny obaj do mnie, ja wam, kurwa, pokażę. — Zebrał się w sobie i w kilku skokach pokonał schody biegnące na górę.

— Ha, ha, ha, ha — teraz już ryczałem ze śmiechu, a jeńcy mi wtórowali — ja pierdolę, ty się, kurwa, śmierci nie boisz, Pastorał.

— A co mi robi? Będzie mnie wkurwiał to na LQuatro* pójdę albo mobbing zgłoszę. — Wzruszył ramionami lewy. — A w ostateczności to mogę już na emkę* spadać. — Zaśmiał się.

Szczerze mówiąc, zazdrościłem mu tej niezależności, jaką dawało przepracowanie piętnastu lat w tej firmie. Możliwość skorzystania z pójścia w każdej chwili na emkę była bardzo przydatna i tym, którzy ją mieli, dawała pewność siebie. Naczelnicy i komendanci dwa razy zastanawiali się, czy takiemu funkcjonariuszowi zrobić kuku w postaci dyscyplinarki lub innego dziadostwa. Każdy, kto miał już wypracowane lata, mógł w każdej chwili rzucić papier o przejście na emeryturę i pokazać środkowy palec przełożonemu, który usilnie stara się udowodnić wszystkim, jakim jest ważniakiem...

Obrobiliśmy nieszczęsnych złodziei na spokojnie: sprawdzenie kieszeni, wrzucenie na bęben, badanie alkotestem i w końcu wypisanie wszelkich protokołów, notatek itd. Zeszło około godziny. W tym czasie stary ponaglał nas przez dyżurnego trzy razy, bo mu się do domu śpieszyło.

— Spokojnie — mówił mój kierowca — jak mu się spieszy do domu, to niech sam do nas zejdzie, a jak skończymy, to pójdziemy. Inaczej będzie, że znowu

jakieś błędy w dokumentacji zrobiliśmy i wtedy na pewno wjebie nam postępowanie za niedopełnienie obowiązków, brak znajomości przepisów albo jakieś insze gówno... — Wiedział, co mówi, nieraz tak było. Przy tym, jak mówił, to przygryzał nerwowo długopis i pisał dalej w protokole zatrzymania, głośno sobie dyktując: — „...biegł za ni-mi i krzy-czał od-daj-cie ka-sę ch-uje...”.

Po ponad godzinie i osadzeniu jeńców na dołku ruszyliśmy na drugie piętro do Bizancjum. Stary słyszał nasze kroki już z daleka, bo o tej porze mało kto siedział jeszcze w komendzie. Wyszedł przed drzwi:

— Ile, kurwa, mam na was jeszcze czekać? — Oparł się o framugę drzwi gabinetu jak jakaś rasowa dziwka.

— Komendant się nie denerwuje, musieliśmy zakończyć dokumentację i osadzić złodziei złapanych na gorącym — powiedziałem.

— Baczność — krzyknął Cap — i ani słowem się nie odzywać!

Stanęliśmy więc pod ścianą korytarza, wyprostowani, jak należy, i w postawie, jak przewidują przepisy, patrząc przed siebie tępym wzrokiem podwładnego. Staraliśmy się przy tym przyjąć wygląd lichy i na tyle durnowaty, by swoim pojmowaniem sprawy nie peszyć naszego komendanta. Widać bardzo mu to pasowało, bo spojrzał na nas zadowolony, zapewne myśląc, że się boimy. Powolnym krokiem podszedł do nas:

— myślicie, że obaj jesteście tacy cwani!? — zaczął wywód. — Otóż powiem wam, że nie jesteście! Od jutra będziecie mieli tylko patrole piesze, codziennie sprawdzanie notatników i kontrolę wyników ze służby. Dodatkowo

po każdej służbie będziecie pisali szczegółowe notatki, co, jak, gdzie i kiedy robiliście...

— A z kim? — zapytał Pastorął.

— Co z kim? — stary odpowiedział pytaniem na pytanie, stając na wprost mojego kolegi.

— Z kim, znaczy się, z kim i co robiliśmy oraz gdzie i jak, w jaki sposób, w jakiej pozycji...?

— Kurwaaa! Jesteś bezczelny! — Krzyknął Cap — przez ciebie cała patrolówka ma zakaz schodzenia na przerwę i za potrzebą do komendy, do odwołania! Patrole piesze nawet nocą, chuj mnie obchodzi, że ktoś srać chce! Niech sra w gacie albo w krzakach. A teraz wyjazd mi stąd na ostatni wasz patrol radiowozem...

— Panie komediantcie, eeeyyy — zająknął się Pastorął — znaczy się, komendancie, a jak mi się siku zechce, bo na razie była mowa o sraniu, to mogę przyjść na bazę?

Stary zrobił się na całej gębie czerwony jak dupa pawiana, miałem wrażenie, że dym pójdzie mu uszami, ale opanował się i odparł, zaciskając przy tym zęby i sycząc do nas:

— Też ma zakaz, załóżcie sobie pampersy...

— To ja też mam pytanie — powiedziałem — złapaliśmy sprawców na gorącym, mówił komendant na ostatniej odprawie, że premie będą dla tych, co złapią...

Odwrócił głowę w moją stronę:

— Ciebie sobie też zapamiętam, Aspirancie...

— Znaczy się, że co: będzie premia czy nie?

— Znaczy się wyypiiieerdaaalaac! — nie wytrzymał napięcia.

— Okej... to my się odmeldowujemy — odparłem, popychając rękami mojego kierowcę, który jeszcze o coś chciał zapytać...

— Stać! — krzyknął jeszcze stary, więc stanęliśmy w połowie korytarza. — Nie myślcie sobie, że ja nie wiem, iż wy na tych durnych internetach i profilach zbukowych piszecie, co się dzieje w komendzie! Dokładnie wiem, co każdy z was pisze i na kogo, więc patrzcie — palcem wskazującym pokazał na mnie i na kolegę — bo ja wam takie postępowanie zrobię, że do końca życia popamiętacie. Polecicie obaj z etyki...

— Eeee, panie komendancie, z etyki? — wyrwało mi się, bo już mnie nosiło na samą myśl o inwigilacji prywatnych profili na intrenecie. Co za dużo, to i koza nie zeżre — pomyślałem, a głośno dodałem: — Z etyki to można ponad połowę komendy na zbity pysk wypier... wypieprzyć — poprawiłem się — razem ze wszystkimi oficerami!

— Ja z tymi dwoma debilami nie wytrzymam, ja pierdolę, kurwa, wyyypiiiiieeerdaaalaaać! — krzyknął drugi raz, obrócił się na pięcie i mówiąc coś do siebie, poszedł w stronę swoich apartamentów.

Spojrzeliliśmy po sobie, kolega wskazał głową odchodzącego Capa i popukał się w czoło:

— Jebie staremu na dekiel...

Spokojnie zeszliśmy na plac i wskoczyliśmy do radiowozu, Pastorał pierdolnął drzwiami.... i tylna szyba z prawej strony wypadła z brzękiem na beton...

— Kurwa, kurwa, kurwa! — krzyczał kierowca. — Ja pierdolę...! — Wyskoczył zza kierownicy jak oparzony, obiegł auto. — No! — dało się słyszeć — na szczęście cała...

Spokojnie wysiadłem, udało nam się włożyć szybę w uszczelkę, ale nie dało się jej teraz ani otworzyć ani zamknąć do końca. Została uchylona tak z dziesięć centymetrów i z taką szparą już pojechaliśmy w rejon. Wiało przez nią niemiłosiernie, a jeszcze zaczął deszcz siąpić, założyliśmy czapki i postaviliśmy kołnierze bluz, żeby było nam trochę cieplej. Pastorał włączył też ogrzewanie, ale po karkach i tak wiało...

III

Osiedlowe gangusy...

Żwirek i Ataman

Szurając butami o bruk, szedł noga za nogą, sznurówki ciągnęły się za nim po ziemi. Ręce w kieszeniach i wzrok wbity w ziemię. Pas z bronią jak u kowboja przewieszony na lewe biodro, a bluza moro wychodziła na wierzch...

Spojrzałem na niego:

— Kurwa, wyglądasz jak czereśniak, poprawiłbyś mundur, pas z bronią i buty zawiązał, wstyd przynosisz...

— A weź siem odpierdol, Ataman, a co jam jest, aby model na wybiegu, kurła, daj żyć... — odparł Żwirek, patrząc nadal w ziemię.

— Ty policjantem jesteś, to powinienesz jakoś wyglądać... Ja nie wiem, co te dziewczyny w tobie widzą ...

— Łogon, łogon, he, he, he — zaśmiał się.

— Taaa łogon, a ja słyszałem, że masz kompleks małego chuja i że się dziewczyny z ciebie śmieją...

— Śmiejo sie, ale chco zobaczyć, aby jaki łogon mam mały, he, he — teraz Żwirek rozgadał się na całego. —

Żebyś ty miał takiego małego ja jo, to też by się do ciebie garnęły, a wiesz, kiedyś pod dyskoteko... No wiesz, pijany byłek, stoje za ściano remizji i leje... A tu nagle wychodzi jakaś baba i aby krzyczy do mnie! „Panie puść ten dyszel łód woza i spierdalaj”, ło! widzisz, jaki mały, dyszel! Dyszel, mówię ci...

— A ty głupi jesteś! — Zatrzymałem ręką Żwirka. — Głodny jestem, bierzemy przerwę...

— Jak przerwę? — zapytał. — Przecie nie możemy zejść na komedię, bo zakaz jest. Aspirant z Pastorałem szopkie narobiły ze starym i ten się wkurwił...

— Mieli dać po sobie jeździć? Ty co byś zrobił? Pewnie stuliłbyś uszy i pozwolił, by darł na ciebie japę? — mówiłem szybko. — I przez to właśnie, że takie boi dupy są w policji, to te gnoje na stołkach robią z nami, co chcą... — Ruszyłem w stronę sklepu, bo mi w brzuchu burczało, a z głupim nie było co gadać...

Żwirek, chcąc nie chcąc, ruszył za mną:

— Ty, ale gdzie bedziem jeść?

— Zobaczysz — powiedziałem z szerokim uśmiechem.

Szybko weszliśmy do sklepu, gdzie już w progu rzucamy razem ze Żwirkiem:

— Dwa razy zestaw patrolowca.

Kobieta zza lady, całkiem ładna blondynka, mruga do nas niebieskimi oczkami i zalotnie szeroko się uśmiecha:

— Panowie pieszy dziś mają? To może ja przygotuję jakąś kawkę na zapleczu? — pyta kokieteryjnie, zapraszając gestem ręki za ladę.

Żwirek od razu wyczuł sytuację i chęć ekspedientki do bardziej bliskiego zaznajomienia się z mundurowymi:

— Jo łoczywiście taak, jo... — nie skończył.

— Nie! — przerwałem mu w pół słowa. — Musimy iść w patrol, jak słusznie miła pani zauważyła.

Zły Żwirek spojrzał spode łba na mnie:

— No wiesz, taka łokazja — szepnął do mnie.

— Nie pierdol, tylko melduj durnemu, że za pięć minut bierzemy przerwę.

Widać było, że mu to nie gra, ale zrobił, co kazałem, zdjął z lewego pagonu stację nasobną typu motorola i krzyknął do niej, naciskając guzik:

— 03 do 11—022, szszyyy — szum w stacji — 03 do 11—022, szszyy.

— Zgłasza! — krzyknął głos durnego z KPP. — Co chciał?

— Przerwę aby byśmy chcieli, może byśmy zeszli do bazy? — zapytał żalosnym proszącym tonem.

Spojrzałem na niego jak na idiotę, no cóż, umiał zgrywać głupiego.

— Zakaz starego jest! Macie przerwę, to radźcie sobie, odliczam za pięć minut. — I się rozłączył.

Stuknąłem go w łepetynę:

— Przecież Cap jest dziś w komendzie, nikomu nie pozwolą zejść.

— Wczoraj pozwolili Gałce i Młodemu i zeszły do bazy...

— Bo wczoraj nie było żadnego z przydupasów ani komendanta, a dziś idziemy jeść na łonie natury.

— Że cło?

— Zobaczysz! — Uśmiechnąłem się szeroko do niego i ekspedientki, która podawała nam dwa zestawy patrolowca.

— To co zwykle? Dwie parówki, duża bułka i półlitrowa woda mineralna, tak? — zapytała, po czym się uśmiechnęła, ale nie do mnie.

— To co, pan jeszcze przyjdzie do mnie kiedyś? Ale bez tego kolegi — spojrzała na mnie złym wzrokiem — bo znowu nie pozwoli pójść na zaplecze...

— Jo, no łączywiście, aby przyjdem, pani ładniutka taka...

Złapałem go za ramię i pociągnąłem za sobą. Co te baby widziały w tym gościu, ani to ładne, ani uczesane, mundur na nim wisi, nie wspominając, że zaciągał lubelskim dialektem. — Spoglądałem na Żwirka z ciekawością. No, kurwa, Żwirek i Muchomorek jak z czeskiej bajki i to dwa w jednym. Nos jak kartofel, wary jak u złotej rybki, odstające uszy i rozbiegane oczka. Ale coś te baby do niego czuły, czyżby tego dyszla nie umył? Zaśmiałem się pod nosem sam do siebie.

— A ty, z czego rżysz?

— A nic, nic, Żwirku. — Ponownie się uśmiechnąłem. — Idziemy jeść.

Wyszliśmy ze sklepu, kierując się prosto na rynek, na którym biegało sporo dzieci, a na ławkach siedziały matki z wózkami. Na środku placu stał pomnik Kobiet Lubelszczyzny. Dookoła niego był zrobiony cokolik, na którym przysiadłem, zdjąłem czapkę i wyjąłem zestaw. Tym razem kolega spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił, że albo to ja jestem jednak idiotą, albo kosmitą, a skoro nie byłem tym ostatnim, to było dla niego jasne, kim jestem:

— Ty chcesz tutaj jeść? Toż mielim iść na łono natury, sam tak mówiłeś...

— Siadaj, zdejm czapkę, jak ja zdjął, i jedz!

Żwirek siadł z ciężkim sercem, wyjął swoją bułkę, parówki i wodę mineralną. Obaj rozłożyliśmy jedzenie na papierze na cokoliku obok siebie i pałaszowaliśmy przepyszne serdelki. Wtem nadbiegła gromadka dzieci z podstawówki i zaczęły nam robić zdjęcia i nagrywać filmiki telefonami. Żwirek, aż się zakrztusił i chciał pogonić dzieciaki:

— Zostaw, niech robią zdjęcia. — Pomachałem do dzieci i zaserwowałem uśmiech à la Jaś Fasola.

Siedzieliśmy już tak dobre pięć minut, odpoczywaliśmy po zjedzeniu jednej parówki i połowy suchej bułki, gdy odezwał się głos w stacji:

— 11—022 do 03, zgłoś natychmiast!

— Zgłaszam — powiedział Żwirek leniwie.

— Co wy tam odpierdalacie!? — krzyczał dyżurny przez stację. — Dzwonią ludzie do komendanta, że kanapki jecie na środku rynku pod pomnikiem!

— Daj stację — zabrałem ją — 03, sam mówiłeś, że nie można schodzić do bazy, to gdzie mamy, kurwa, jeść!?

— Jak gdzie, jak gdzie, w ustronnym miejscu, kurwa!

— W ustronnym miejscu to ja mogę kupkę albo siusiu zrobić, a nie śniadanie jeść — odparłem. — Przekaż komendantowi, że mam teraz przerwę i z niej korzystam zgodnie z ustawą o policji...

— Ataman, nie wkurwiał mnie...

— Bez odbioru...! — powiedziałem

— Ataman, zamelduję staremu — krzyczał wściekły oficer. Oddałem stację zdumionemu Żwirkowi, mówiąc: — Weź ścis� to gównno...

Wyłączył stację, spojrzał na mnie ze strachem i niedowierzaniem:

— Zaplanował żeś to!? — Prawie płakał. — I jeszcze mnie w to wciągniesz...

— Przegryzaj spokojnie, bo się zadławisz i sklepikarka będzie niepokieszona...

Jeszcze kilka zdjęć z dziećmi, bułkami i parówką i ruszyliśmy dalej w rejon patrolu. Żwirek się do mnie nie odzywał, widać było, że się gniewa. Chodziliśmy dobrą godzinę bez słowa, gdy zobaczyłem po drugiej stronie ulicy grupkę osiedlowych przygłupów pijących piwo.

— Patrz, stoją i piją, widzą nas i w dupie mają.

Naprzeciwko nas pod sklepem Stonka, stała grupka dresów w różnym wieku i śmiejąc się do nas, a raczej z nas, piła browarki. Matki omijały gromadę szerokim łukiem, a i tak miały problem przejść do sklepu. Dodatkowo bluzgi młodych osiedlowych gangusów za pięć złotych w portkach wiszących do kolan, jakby któryś narobił tam pięć kilo klocka, powodowały, że kobiety zasłaniały uszy swym pociechom. Przygłupy pluły wszędzie, rzucały łupinki od słonecznika i pety, kurwując przy tym niemiłosiernie. Na nasz widok wcale nie zaprzestali, a wręcz zachowywali się jeszcze głośniej i bardziej prowokacyjnie.

Spojrzałem na Żwirka, ten poprawił pas, ułożył bluzę munduru, jak należy, nasadził głębiej na oczy czapkę bejsbolówkę z orzełkiem i napisem policja, szturchnął mnie łokciem i ruszył przez ulicę na drugą stronę. Kilku gangusów, przed chwilą jeszcze odważnych jak Stefek Burczymucha, od razu dało dyla, rzucając w trawę butelki z piwem. Na placu boju przed Stonką zostało tylko kilku.

— Ataman, mogę ja dziś mandaty wystawić? Bo w tym miesiącu nie mam żadnego...

— Dobra, chcesz, to wystawiaj — odparłem na zgodę, w końcu wspólny patrol do czegoś zobowiązywał.

Podeszliśmy do pijących:

— Mistrzowie znają przepisy o spożywaniu alkoholu w miejscu publicznym? — zapytałem.

— Ale panie władzo — zajęczał jeden z nich — ale o co chodzi? — Strzyknął przy tym śliną pod nogi Żwirka, ochlapując je przy okazji. — Toć my tu aby spokojnie stoim i nikomu nie wadзим. Wypijem browca i pójdziem gdzieś dalij...

— A gdzie pójdzietaaa? Bydziecie znowu szumić, a ja bede za wami latoł? Co to, to nie. — Pokiwał głową mój kolega.

Swój ze swoim się dogada — pomyślałem — tą samą gwarą nawijają.

— Proszysz... dowodziki i bydzie mandacik za spożywkę, sto złocisz. — Sierżant wyjął notes: — Który pirwszy...?

— Panie fładzo bądź paan cłóofiekiem, kurfa! My tu tylko na chfiłę — skamlał i seplenił następny z nich — juzz do dom slišmy, jak panofie aby nadesły.

— A to rozumiem, że koledzy, którzy uciekli przed nami, to do mamusi na obiad pobiegli? — zapytałem, asekurując kolegę, który wyciągał już długopis.

— To jak, soo te dowodziki czy nie mata?

— Są — odparło kilku.

Grupka, która została, to pięć osób w wieku około dwudziestu kilka lat każdy. Cwaniaczki i drobne opryszki, nigdy nie wiadomo, co mogło im do łba strzelić podczas

legitymowania. Na szkole uczono, żeby zachować trójkąt bezpieczeństwa podczas legitymowania — myślałem — to samo pierdoli naczelnik, niech mi no który oficer przyjedzie i pokaże, jak to się robi przy takiej albo większej grupie...

Bacznie jednak patrzyłem i nie spuszczałem wzroku z ich rąk.

Żwirek właśnie spisywał kolejnego:

— Dobra, oki, Brzozowski, imię?

— Jan.

— Data urodzenia?

— Dziewięćdziesiąty...

— Kurła, mówiłem żech do was, dzień, miesiąc, rok!

— Szesnasty października...

— Oke, teraa cisza, kurła. — Zdjął motorolę z paska, wcisnął guzik: — 03 do 11—022, szszyy.

— Zgłasza 03, szszyy...

— Wrzuc miee na benben pinciu, trzy po peslu* i dwa po dacie urodzenia.

— A więcej ich nie miałeś, Żwirek...?

— Ten, kurła, zawsze ma aby jakiś problem, siedzi aby z nosem w kawie, zamiast sprawdzić dane... — Spojrzał na pięciu gości. — Oki bydzie mandant za picie piwa. Po sto złociszy każdy...

— Kufa, pane fładzzo — zaczął sepleniący — co jest, kufa, jakie mandaty...

— Dla ciebie za przeklinanie bedzie aby kolejny mandacik... — Żwirek spojrzał w niebo, jakby szukał tam pomocy. — Proponuję aby kolejne sto złociszy, razem dwiście...

— I chuj. — Gość w nerwach rzucił kiepa na ulicę.

— I chuj — powtórzył sierżant, uśmiechając się przy tym do delikwenta — za zaśmiecaniiii bydzie kolejny blankieciķ, na następne sto złotych. — Spojrzał na wkurwionego gościa w szarym dresiku z czterema lampasami: — Coś jeszcze? Bo zrobjee ja ci kumulacyje, jaką na długo zapamiętasz... — pogroził przy tym długopisem sepleniącemu.

— Nie... — krótko i cicho odpowiedział wkurwiony dres. Ale zaczął się przy tym niespokojnie i nerwowo ruszać.

Żwirek wyciągnął tym razem mandatownik i zaczął wypisywać blankieciķ drobnym maczkiem, a ja gadam z dresami, bo mija długa chwila, zanim durny z KPP sprawdził wszystkich i się odezwał. Coś mi się nie podobało w ich zachowaniu. Nie przypadł mi do gustu szczególnie ten, który załapał się na potrójną promocję. Ale rozmawiamy dalej, chłopaki tłumaczą się, że każdy chce się piwka napić, że fajne dziewczyny są na osiedlu i jedna z nich, ruda Maryśka, chętnie się bzyka za skręta.

— Szszy... 022 do 03, szszy.

— Zgłaszszaa sięęę — podjął Żwirek.

— Stoisz koło tych dresów? — pada pytanie.

— Niomm, tiaa. — Patrzy przy tym na blockersów spod byka.

— To odejdź na chwilę, mam ci coś do powiedzenia. — Kolega odwraca się, by odejść kilka kroków.

Wtedy widzę, jak ten, co przed chwilą seplenił, opowiadał o dupie Maryśki i szczyrzył się do nas, wyciąga spod bluzy batona*. Zamachnął się nim w powietrzu...

— Uwaaaaaźaa.... — krzyczę, rzucając się w stronę kolegi, by zablokować pałkę rozsuwającą się

z trzaskiem w powietrzu.

Wtedy dwóch innych dresów skacze na mnie, powalając na ziemię, kopy idą w ruch. Jeden cios w żebra, drugi w jaja:

— Aaaa! — krzyczę ponownie. Zabolało. Nie wiem, co czuje kobieta przy porodzie, ale kop w jaja może być nieporównywalnie boleśniejszy...

Następne buty lecą na mój ryj, który zasłaniam rękami. Zanim się zasłoniłem, dostrzegłem, jak Żwirek otrzymuje cios batonem w głowę... Krew tryska na chodnik, motorola roztrzaskuje się o ziemię... Więcej nie widzę, kulę się jak dziecko w łonie matki, kopy lecą mi teraz na plecy i dupę. Na szczęście osiedlowe gnojki mają na sobie adidaski, najki i chuj wie, co jeszcze, kapcie? Ich kopniaki są niczym rzucanie puszystymi śnieżkami w zimie przez dziewczęta z gimnazjum. Gdyby to byli skinheadzi w glanach, miałbym przesrane, a tak, gdyby nie kop w nabiął, byłoby nawet miło. Kurwa, co ze Żwirkiem — myślę intensywnie. — Nie lubię chuja, ale zakatują go nieprzytomnego. Weź się, kurwa, w garść! Krzyczę wewnątrz... W tym momencie czuję, jak któryś dobiera się do kabury z moim ukochanym Walterkiem...

— O ni chuja — krzyczę i próbuję się podnieść, jeszcze jeden but trafia mnie w ryj, krew tryska z rozbitych warg i czuję, jak kruszą się dwie jedyne. Przełykam je wraz ze śliną i krwią, zachwiałem się po kopie, aż musiałem usiąść... Ale gnojki patrzą na mnie jak na terminatora T-800 z filmów z Arnoldem Schwarzeneggerem. Są zdumieni, że wstałem po ich „mięciutkich” kopach. Zamurowało ich na chwilę, odskoczyli ode mnie na parę kroków i stanęli jak wryci.

— I'm back! Skurwysyny! — krzyknąłem. — Tak to możecie swoich chłopaków kopać. — Sięgam do kabury i dodaję: — Pedaly w dresach w dupę jebane... — A zaraz potem drę ryja na całe osiedle: — POOOOLIIICJJJA! KUURRWAAAA! — mój krzyk tnie powietrze jak grom Zeusa — na glebę, skurwiele!

Wszystko dzieje się w szaleńczym tempie. Po chwili zaskoczenia, chłoptasie patrzą na siebie, nie zamierzają wykonywać moich poleceń. Sepleniący skurwiel z batonem rusza w moją stronę, a za nim jeszcze dwóch gangusów. Sekundy dzielą ich, by mnie dopaść i dojechać jak Żwirka. Szybki ruch głową, kości strzelają mi w karku, przechylam głowę w lewo, udaje mi się klęknąć na jedno kolano:

— Ałaaa... — Jaja nadal bolą.

Podnoszę broń, celuję w debilny łeb tego z wadą wymowy... On jest najbliżej i ma broń, którą zajebał Żwirkowi w baniak.

Kurwa, prokurator mnie zajebie, jak chuja zastrzele — myśli szybkie i kłębiące się na raz przebiegają mi po głowie — pójdę siedzieć na sto procent. A tam zrobią mi z dupy jesień średniowiecza, o nie! Tak nie będzie. To nie kurwa, Ameryka, tylko Polska, gdzie policjantów zjada się żywcem za użycie broni. Na początek skurwiele z BSW*, którzy ścigają swoich, a później tępak jakiś z prokuratury i chuj pójdę za gnojka siedzieć...

Ręce zaczynają mi latać jak galareta, serce kołacze, jakby miało za chwilę wyskoczyć na chodnik. Ponowny napływ adrenaliny, szum w uszach i nawet zapominam o bólu jaj...

— I chuj, w pizdziec — cedzę przez zaciśnięte zęby — nie będę Brudnym Harrym jak Clint Eastwood, i tak nie mam

Magnum 44. — Obniżam lufę, szybkim ruchem przeładowuję broń, którą ściskam już pewną ręką. Jeszcze spluwam krwią i kawałkami czegoś białego i twardego na chodnik. — Kurwa! To moje zęby. Nie ma czasu na rozpacz, w wieku czterdziestu ośmiu lat mogę sobie już odżalować na sztuczną szczękę. Lewa ręka robi podpórkę dla prawej trzymającej gnata. Palec schodzi na język spustowy, który delikatnie naciskam, Walter podrywa się trochę do góry, kłęb białego dymu unosi się w powietrzu. — A to chuj, za dużo oleju wlałem przy ostatnim czyszczeniu klamki na strzelnicy... Wszystko trwa ułamek sekundy, moje myśli, wyćwiczone czynności przygotowujące mnie do strzału i w końcu samo wystrzelenie z broni... Kula zaryła w chodnik, tuż za biegnącym z rozłożoną metalową pałką teleskopową dresem. Teraz scena przyspieszyła, po pierwszym strzale poprawiam się co nieco i naciskam spust ponownie. Pada kolejny strzał... Huczy mi w uszach...

— Aaaaa! — biegnący drze ryja na pół osiedla. — Aaaa! — Trafiłem go troszkę powyżej kolana. Tuż obok mnie pada na łypę ten sepleniący skurwiel.

Szybko celuję w drugiego biegnącego, Walther podskakuje po raz kolejny.

— Aaaa! — krzyczy drugi, którego też dosięga kulka, ten ma przestrelone udo, pada ale siada zaraz na ziemi i ściska nogę krzycząc i płacząc jednocześnie. Gdy pozostali zobaczyli, co się dzieje, zaczęli spierdalać, gdzie ich oczy i ich pedalskie trampki poniosły. Dookoła zrobiło się małe zbiegowisko ludzi wychodzących ze sklepu i kilkunastu gapiów z osiedla.

— Spieeerdaaalaac! — krzyczę do nich. Uciekają z krzykiem i piskiem jak małe dziewczynki.

Szybko zrywam się na nogi, celując w pierwszego chuja, który leży na ziemi i ściska zakrwawionego batona. Z całej siły napierdalam z góry moim czarnym glanem na jego rękę, ponowny krzyk rozrywa powietrze:

— Aaaaa! — Gangus puszcza teleskopa, ze złamanych palców, wykopuję go na środek ulicy. Chowam kławkę do kabury, szybko się odwracam i podchodzę do drugiego, który siedzi na chodniku, ściskając krwawiące udo. Z całej siły napierdalam go w ryj pięścią, pada jak długi. Łapię chuja za postrzeloną nogę i przyciągam do sepleniącego dresa, który teraz płacze. Szybko wyciągam bransoletki z kabury przy pasie, zakładam na nogę nieprzytomnego cwaniaczka, którego przed chwilą ciągnąłem. Wykręcam połamaną rękę gościa od batona i zakuwam razem z nogą jego kolegi. Teraz szybko biegnę do Żwirka, przystawiam palce do szyi, by wyczuć tętno, i przykładam ucho do jego ust.

— Oddycha — mówię sam do siebie.

Teraz słyszę wyraźnie syreny radiowozów jadących nam na pomoc. Okazało się, że Żwirek w ostatniej chwili wcisnął na motoroli guzik alarmowy.

— Żwirek, nie jesteś taki głupi, jak udawałeś... — mówię do niego. Przeciągam go pod sklepowy murek gdzie siadam, kładąc jego głowę na swych kolanach i przytulając jak dzieciaka. Bandaż, który zawsze nosiłem w bocznych kieszeniach spodni, przydał się do tamowania krwi sączącej się z rozbitego baniaka kolegi. — A tak się śmiałeś, że noszę ten szajs ze sobą, a teraz ratuję ci nim życie... — mówiłem do niego, uciskając ranę, chociaż i tak mnie

nie słyszał. Od czasu do czasu spoglądałem na skutych nieopodal dresów i tłoczących się dookoła gapiów, cykających zdjęcia telefonami.

Po chwili na miejscu były już trzy radiowozy, chłopaki szybko ruszyli mi na pomoc. Zmienili bandaż na głowie Żwirka i chcieli go ode mnie zabrać, ale nie pozwoliłem im na to, nadal tuliłem go jak dzieciaka i coś do niego mamrotałem. Koledzy zajęli się więc udzieleniem pierwszej pomocy osiedlowym gangusom. Po pięciu minutach przyjechała także karetka pogotowia, sanitariusze zajęli się rannym Żwirkiem, położyli na nosze i na sygnałach popędzili do szpitala na OIOM. Zaraz po ich odjeździe przyjechał też kierownik i komediant Bocian, zastępca Capa.

— Dojebię cię za to, Ataman — krzyczał. — Skurwielu! Miałem właśnie awansować... A teraz przez ciebie... Jeszcze dziś trafisz do aresztu...

Siedziałem spokojnie na murku pod sklepem, plując nadal krwią z rozbitych warg, spojrzałem na chuja tępym wzrokiem:

— Żądam lekarza... Psychiatry... — powiedziałem spokojnie, grzebiąc w ustach zakrwawionym palcem i wyciągając okruszki połamanych zębów, z kieszeni wyjąłem też fajkę. Któryś z chłopaków podał mi ogień, zaciągnąłem się dymem i spojrzałem na kutasa.

— Ni chuja — krzyczał — żadnego psychiatry, pójdiesz siedzieć, kurwa!

— Żądam psychiatry... — powtórzyłem spokojnie.

Trzech kolegów otoczyło mnie murem, jeden z nich, Pielucha, wyjął telefon i wybrał numer do policyjnego psychiatry...

Sepleniący gangus okazał się być ścigany międzynarodowym listem gończym za liczne rozboje i pobicie na Wyspach. Dwóch innych miało liczne wyroki w zawieszeniu...

Żwirek nie wrócił do służby, dostał rentę policyjną. Ataman leczył się dziewięć miesięcy, w tym czasie dwukrotnie był na terapii w Otwocku i Cieplicach. Po powrocie do służby zabrano mu broń na pół roku i przerzucono go do wydziału dochodzeniowego, w którym ugrzązł w nawale spraw. Bociana przeniesiono karnie do komendy wojewódzkiej, gdy okazało się, że ruchał żonę któregoś ze swoich oficerów, którego specjalnie wysłał na jakieś szkolenie do Legionowa, zresztą znany był z bzykania także kilku podwładnych funkcjonariuszek, które tą drogą starały się o przeniesienie do lepszych wydziałów lub awans.

Ataman to postać posiadająca cechy dwóch prawdziwych funkcjonariuszy, podobnie jak Żwirek. Realne osoby kryjące się pod tymi postaciami to twardzi gliniarze, dobrzy funkcjonariusze, psy, którym przełożeni próbowali wyłamać zęby...

IV

Zielinokio i (nie)wesole kontrole

Harnaś i Okrasa

Harnaś i Okrasa byli jednymi z kilkunastu stałych wydziałowych podpadziochów, nie wystawiali mandatów, nie kłaniali się naczelnikom ani kierownikom. Zawsze mieli swoje zdanie, wielokrotnie wskazywali nieprawidłowości, zaniedbania i uskarżali się na zły stan sprzętu, poczynając od radiowozów, a skończywszy na braku papieru toaletowego w wydziałowym sraczu.

Zazwyczaj obaj chodzili na patrole piesze, które w ramach pokuty często wyznaczał im główny naczelnik wydziału, Lucio vel Konfettini, pomazaniec komendanta wojewódzkiego. Najgorszym miejscem dla patrołowców, a ulubionym przez przełożonych, była stacja PKP w Białym. Z uwagi na to, że funkcjonariusze podpadali za różne dziwne rzeczy, patroli pieszych w mieście było pod dostatkiem.

Trzeba jednak wytłumaczyć, dlaczego i jak można było łatwo podpaść pryncypałom. Otóż na przykład za to, iż matka niemającą nikogo do opieki nad dzieckiem do lat

ośmiu pisała raport o skorzystanie z uprawnień. Uprawnień, które mówiły, że nie może pełnić służby w porze nocnej w niedzielę oraz święta zgodnie z rozporządzeniem MSWiA z 18 października 2001 roku po nowelizacji z 2014 roku. Inny przykład to, kiedy kobieta karmiąca piersią korzystała z prawa siedmiodzinnej służby albo funkcjonariusz upomniał się o wolną niedzielę. Takie osoby, kobiety i mężczyźni, korzystające z opieki na dziecko i nie tylko były wzywane na dywanik do Lucia, gdzie często wraz ze swymi zastępcami próbował on zastraszyć takich niewygodnych policjantów. A jeśli się nie dali i upierali się, że będą jednak korzystać z należnych im „przywilejów”, to wtedy byli wysyłani na patrole piesze.

Zdzieranie butów czy szlifowanie bruków miało sprawić, że „rozum” poprzez nogi, dupę itd. wejdzie z powrotem do łbów podwładnych. Rzadko która kobieta wytrzymywała takie patrole, ale zdarzały się twarde jednostki. Takie osoby, które długo chodziły z buta i rozum im nie wracał, były wysyłane na kwadracik PKP — kładka — PKS. Ci akurat mieli szczęście, bo jeszcze były małe kwadraciki, sam PKS lub samo PKP i tak przez dziesięć godzin służby, można było ochuć...

Wracając do naszych bohaterów, pozwolę sobie wcielić się tym razem w mojego kolegę i przyjaciela Harnasia. Otóż nasz Harnaś po dłuższej przerwie urlopowej trafił na patrol pieszy — tak, za urlop też można było trafić na patrol pieszy, jeśli naczelnik szczerze nas nienawidził.

Swego czasu był zwyczaj, by pieszy patrol pełniący służbę na PKP w Białym godzinę wcześniej stał już na peronie wraz z innymi służbami.

I tak staliśmy jak te pierdoły, plus trzydzieści w cieniu, a my w pełnym słońcu ubrani na czarno. Zejść nie zejdziesz, bo w krzakach po przeciwnej stronie widać czarne loczki naczelniczka Robaka i łysą pałę jego asystenta Pustostana. Przypomniałem sobie, skąd ten pseudonim, i zaśmiałem się w duchu — ten przydupas naczelników sam o sobie mawiał na odprawach przy sześćdziesięciu policjantach, że ma we łbie pusto jak w pustostanie. Jak mawiał kolega w fabryce oficerów: „głupich nie sieją, sami się rodzą”. Teraz obaj z zastępcą naczelnika stoją z kamerą i nagrywają, czy któryś z nas się nie wyłamie i nie zejdzie z „posterunku”. Oni myślą, że ich nie widać, a my udajemy, że faktycznie ich nie widzimy — ot taka częsta zabawa na PKP.

— Po co ten cały cyrk? — pytam Okrasy, chociaż doskonale wiem, o co chodzi, już mi chłopaki donieśli, co tu się wyprawia praktycznie co weekend. Przed moim urlopem jeszcze takiego cyrku nie było.

— Zaraz zobaczysz, kurwa, przyjeżdża pociąg z Warszawki, a w nim ulubiony minister naszego pryncypała...

No to stoję, patrzę i robię coraz większe oczy. Na peron schodzi się patrol SOK w żółtych oczojebach* — stają trochę dalej od nas, by kamerka z krzaków ich nie objęła, chociaż Robakowi z przejęcia dygocą łapy, a krzaki trzęsą się wraz z nim, przez co oko kamery wędruje raz w lewo, a raz w prawo. Śmiejemy się z kolegą, że Robak pieprzy Pustostana w krzaczorach, bo tak się liście tam trzęsą.

Później na peron przybywa ochrona PKP, także w oczojebach, ochrona Intercity i jeszcze patrol straży granicznej. Postawili samochód na miejscu parkingowym przeznaczonym dla taksówek i przytruchtali do nas, poprawiając pasy z bronią.

— A ci to nowi — mówi Okrasa — oni rzadko przyjeżdżają...

Stoimy więc i patrzymy w prawo, skąd ma nadciągnąć pociąg ministra...

Piętnaście minut przed przyjazdem pociągu z budynku stacji wybiegają trzy odpicowane stewardesy Intercity. Granatowe mundurki, spódniczki przed kolanko, jakieś jasne chusty na szyi i śmieszne czapeczki na głowach. Szerokie uśmiechy zawitały na ich ładnych buźkach, biel ząbków błyszczała w słońcu, a czerwień ust kusiła swą krasą. Jedna z nich jeszcze szybko przeczyściła zęby, przejeżdżając po nich palcem. Wyciągnęła tym samym zgrabnym paluszkim jakąś reszkę jedzenia, którą wypłuła spektakularnie na peron i znów gotowa szczyrzyła się, patrząc w stronę torów...

Jest, jest! W końcu nadjeżdża pociąg. Wtacza się powoli i ociężale na stację jak w wierszach Tuwima. SOK-iści, dziarskie dziadki pod sześćdziesiątkę, wciągają brzuchy i preżą dumnie piersi, ochrona poprawia żółte kamizelki, stewardesy błyszczą perłową bielą ząbków i machają rączkami, jakby witały papieża... Tylko my dwaj dalej stoimy jak te pierdoły. Okrasa drapie się po głowie, a ja patrzę na zdziwionych ludzi, którzy zerkają na nas i na pociąg. A oko kamery i czujny zmysł naczelniczka śledzą nas,

aż w końcu lokomotywa zasłania krzaki i znikamy z pola widzenia szpicli Lucka.

Z wagonów wysypują się ludzie, przepychają między sobą, szturchają, niektórzy wsiadają, inni sterczą w oknach, krzyczą, płaczą i się śmieją... Nic wyjątkowego, zwykła proza życia na dworcu.

Ale jest jeden wagon, a w nim przedział, gdzie w okienku wisi zielona firanka z malutkimi literkami PK... Zasłonka lekko faluje poruszana wiatrem...

Okrasa stuka mnie łokciem i wskazuje to okno głową.

— To łun, to łun — krzyczy jeden z ochroniarzy. Zaraz przypomina mi się komedia *Nie lubię poniedziałku*, gdy na lotnisku jedna z babek krzyczy podobnie... Tylko tutaj na PKP ktoś widocznie zapomniał jeszcze orkiestrę zamówić, by zagrała marsz powitalny.

Firanka odsłania się bardzo powoli i nieśmiało, jakby zaraz miała pojawić się za nią jakaś księżniczka z *Tysiąca i jednej nocy*. Ale nie, ku mojemu rozczarowaniu zza zasłonki wychyla się ciemna męska łepetyna. Widać włoski zaczesane do góry jak u wczesnego Leonida Breżniewa, tylko buźka jakaś taka bardziej czerwona, pełna jak księżyc i uśmiechnięta od ucha do ucha. W oknie ukazuje się twarzyczka z miną zadowolonego wiejskiego chłopka, który właśnie zobaczył nagą dziewczuchę nad strumieniem.

— Zziieellinnoookiiioo... — szeptem mówi mój kolega, jakby klęczał w kościele, i do mnie mruga...

Spojrzałem i faktycznie w przedziale siedział najważniejszy człowiek na Podlasiu, szara eminencja ministerstwa MSWiA. To przed nim drżeli komendanci i oficerowie poszczególnych komend miejskich

i powiatowych w regionie. To dla niego kilkanaście prawie hawajskich dziewczic tańczyło hula. Był to gość, który zmusza podstarzałe gospodynie wiejskie do dziwacznych podrygów przed kamerami telewizji. W końcu to dla niego Lucio rękami rekrutów wycinał białoczerwone konfetti, które osobiście z narażeniem życia — przypięty stalową linką i asekurowany przez jednego z pilotów — zrzucił z helikoptera.

Wtem wzrok tego ważnego kogoś zza okna spoczął na nas, uśmiechnął się jeszcze szerzej, jeszcze bardziej poczerwieniał, a zza firanki wysunęła się biała i pulchna jak poznańska bułka rączka, którą powolnym gestem, jak królowa Anglii Wiktoria, zamachał do nas. Ruch ten przywodzi nam na myśl wkręcanie żarówki.

— Harnaś, on pomachał do nas? — ni to zapytał, ni stwierdził Okrasa.

Widać tego jeszcze nie grali, istne szaleństwo zapanowało wśród niektórych służb. Teraz już machali ochroniarze, stewardesy i SOK-iści, za to do naszego grona pierdół dołączyli pogranicznicy. Spojrzeli po sobie, spojrzeli na nas, w końcu jeden krzyknął w naszą stronę:

— Kurwa, ale cyrk... — Tyle to już wiedzieliśmy...

Po chwilowym orgazmie, jaki wśród stewardes i nie tylko wywołał gest ministra, emocje opadły wraz z firanką w okienku przedziału, który zajmował.

Gwizdek konduktora i pociąg ruszył w stronę Suwałk.

Służby się rozeszły, a my z Okrasą ruszyliśmy na patrol zgodnie z wytycznymi z porannej odprawy, a także z daleka od kamery, by w spokoju kontrolować przydzielony nam

rejon. Gdy mijaliśmy dyżurkę konduktorską, przez okno zawołał nas jeden z kolejarzy.

— Panowie, minister kazał przekazać, że bardzo mu się podobaliście. — Obaj spojrzeliśmy na niego wielkimi oczami. — To znaczy, hm, źle mnie zrozumieliście — zaczął chrząkać — znaczy się, że ładnie się prezentowaliście w tych mundurach i w ogóle. No minister lubi, jak mundurowi go witają, wtedy to tak fajnie wygląda, prawie jak na paradzie księcia Konstantego Romanowa... — Stuknąłem się palcem w głowę, pokazując kolejarzowi, co myślę na ten temat.

— Chodź, bo zaraz coś mnie trafi, kurwa...

Po półtorej godzinie okazało się, że nie będzie tak spokojnie, jak myśleliśmy. Podczas patroli pieszych często zdarzały się jedna lub dwie kontrole, zazwyczaj byli to nasi przewspaniali asystenci, kierownicy, a czasem któryś z łaskawców naczelników. Zdarzały się też kontrole z komendy miejskiej i wojewódzkiej, o kontrolach z komendy głównej słyszeliśmy, że bywały, ale to było tak jak w kawale o ludzkim komendancie — każdy o nim słyszał, ale nikt go nie widział. Stety czy niestety — tym razem mieliśmy to szczęście, że w odstępie krótkiego czasu trafiły nam się cztery kontrole, w tym z KGP.

*Kontrola z KWP**

Dwóch funkcjonariuszy w nowiuśkich, przysłanych prosto z magazynu, granatowych mundurach ćwiczebnych z furażerką, którą jeden zawadiacko założył sobie, przechylając ją na lewą stronę, szli peronem w naszym kierunku.

— Patrz, kurwa, idą oficjery. — Szturchnął mnie Okrasa. — Nowe mundury podostawali, a żaden jednego dnia na ulicy nie przerobił. Na chuj im one? Żeby ładnie wyglądać, paradować przed ludźmi i wkurwiać zwykłych patrolowców, którym pot po dupie leci w trzydziestu pięciu stopniach w czarnuchach*. — Nie na żarty i nie bez powodu wkurwiał się mój kolega. — Czytałem w jakimś policyjnym piśmie, że pierwsza partia tych mundurów ma trafić do kierownictwa policji. Zamysł tego jest podobno taki, żeby przełożony wiedział, w czym będą chodzili jego podwładni. A czy kurwa oni — wskazał ręką idących do nas oficerów — zapierdalają z buta w pełnym słońcu, w mrozie, deszczu lub śniegu? Nie, kurwa, bo po co... Lepiej dupy grzać w gabinecikach w nowych mundurkach i mówić, że są sprawdzone w stu procentach i nadają się dla nas! A będzie z nimi tak jak z poprzednimi, co nam je dali.

— To jakieś nam dali? — zapytałem zdziwiony. — Przez dwa lata zabierali mi ponad połowę z mundurówki, a sorty nowego typu wydawali, rozwlekając wszystko w czasie tak, że do tej pory nie dotarły do mnie półgolfy ani koszule z krótkim rękawem... Nie wspomnę już o sweterku, który wjechało gdzieś po drodze...

— Chuj z tym — nie dał mi skończyć Okrasa — ja nie mówię teraz o tych szmatach, co to je podobno Jacyków wymyślił i w których wyglądam jak pierdolony listonosz. Ja ci mówię, Harnaś, o nowych, tych, co się w nich oficjery teraz lansują. Zobaczysz, że tak samo jak w tych od tego kreatora mody, dupy będą się odparzać... — nie zdążył skończyć, bo padło:

— Dzień dobry, panom! — zagaił jeden z oficerów, przyglądając nam się bacznie. Jednego z nich kojarzyłem, ale nie wiedziałem skąd i nie mogłem sobie przypomnieć.

No cóż, jako dowódca tego tandemu zrozumiałem, iż wymagają podejścia regulaminowego i musiałem się ładnie zameldować. Stałem w postawie zasadniczej, kolega również i oddaliśmy honor:

— Panie nadkomisarzu — meldowałem — sierżant sztabowy Harnaś plus jeden, melduję patrol podczas wykonywania zadań służbowych w wyznaczonym rejonie.

Oficerowie również oddali honory:

— Nadkomisarz Krzywy i podkomisarz Gorliwy z KWP w Białym, kontrola przebiegu służby, proszę o wasze notatniki, bloczki mandatowe oraz proszę pokazać środki przymusu, jakie posiadacie i broń służbową. Sprawdzimy czystość. — Spojrzał na dwukropka z uśmiechem.

— Komisarzu — wskazałem ręką rejon PKP — gdzie chce pan broń sprawdzać? W razie niekontrolowanego strzału, kto odpowie? Tu jest wielu postronnych ludzi, proszę się rozejrzeć...

Krzywy poczerwieniał i uśmiech mu zrzędł, nie był jednak taki głupi, by przyznać mi rację:

— Podejrzewam, że broń macie czystą, panowie sierżanci, odpuścimy więc sobie dzisiaj jej przegląd. — Spojrzał na mnie. — Ale nie myślcie, że kiedyś jej nie sprawdzę.

— Oczywiście — odparłem, choć ostatni raz na strzelaniu byłem dwa lata temu i od tamtej pory mój Walterek kisił się w magazynie i zarastał pajęczyną. Ale co zrobić, jak nikt nie dbał o to, byśmy mogli swobodnie wyczyścić broń.

Magazyn otwierano zaraz przed samą odprawą, a po odprawie pędzono nas jak bydło na patrol... Nie wspominając o braku amunicji do strzelania...

— Notatniki! — powiedział dwukropek. — Wyjąć i pokazać, ilu legitymowanych, mandatowanych, co się działo na służbie, ile kontroli miejsc zagrożonych i kiedy była przerwa.

Podaliśmy im swoje notatniki, przeglądali je bardzo skrupulatnie, linijka po linijce, zaglądali jeden drugiemu przez ramię, coś tam szeptali i widać było, że są niezadowoleni.

— Po pierwsze primo — w końcu odezwał się jeden — dlaczego notatniki są tak nieczytelnie prowadzone?

— Bo na patrol pieszy nie mogę zabrać ze sobą biurka — powiedział poważnie Okrasa.

Oficerowie spojrzeli na niego spode łba:

— Zaraz ci się odechce żartować...

— Ale ja nie żartuję, gdybym pisał na czymś twardym, to litery byłyby równe i zgrabne, a piszę w powietrzu, w związku z czym jest, jakie jest.

— To na chuju sobie oprzyj — wściekał się dwukropek. — A ty?

— A ja miałem być lekarzem i stąd takie pismo — odparłem.

— Okeeej, kurwa — nie dawał za wygraną Gorliwy. — Drugie pytanie, dlaczego nie ma legitymowanych i mandatów? Jak to wytłumaczycie?

— Działamy prewencyjnie, swym wyglądem, naszą postawą oraz obecnością w tym miejscu odstraszaemy

ewentualnych złoczyńców, panie komisarzu — ponownie zareagował inteligentnie Okrasa.

— Nie wierzę, że nikt podejrzany się nie kręcił!

— Był tu taki jeden, z godzinę temu z Warszawki pociągiem jechał. — zaczął kolega — czerwony na ryju, zapewne pijany. Uśmiechał się do nas jakoś dziwnie, ogólnie jakiś podejrzany typek.

— Wylegitymowaliście go?

— Nie, powiedziano nam, że ma immunitet to puściliśmy go do Suwałk...

— Ja pierdole... debile na służbie — mruknął pod nosem Krzywy, a Gorliwy spojrział na Okrasę groźnym wzrokiem. Pokręcili głowami, ja zaś z trudem dusiłem śmiech odwracając głowę, by nie patrzeć na Okrasę.

— Pięć godzin służby i plaża w notatniku. — Ciągnął dalej niezbity z tropu komisarzyk, rozejrzał się po rejonie dworca. — Tam — wskazał palcem — jakiś facet z dużą walizką, może bombę niesie? Moglibyście go sprawdzić.

Spojrzałem na niego jak na idiotę:

— Po pierwsze myślę, że nie szedłby tak spokojnie, a po drugie, gdyby miał bombę, wszedłby z nią do budynku, byłoby więcej ofiar, bo tam dużo ludzi jest — odparłem spokojnie — ja bym tak zrobił. Ponadto komisarz również jest policjantem i obliuguje go ta sama ustawa o policji, więc skoro stwierdził pan, że ten ktoś ma bombę i jest zagrożeniem w miejscu publicznym, to proszę go samemu sprawdzić. My z kolegą będziemy panów asekurować...

— Obaj jesteście bezczelni! — Nie wytrzymał już dwukropek i wyciągnął swój kajecik. — Kto jest waszym dowódcą?

— Lucio.

— Ten od konfetti?

— Ten sam.

— Okeeej, kurwa. — Gorliwy zanotował. — Aaa teraaaa napiszemy w notaaatniiikaaach — mówił sam do siebie — „policjanci źle wykonujący służbę, mało efektownie...”.

— Efektywnie, komisarzu — powiedziałem. — Efektownie to można spierdolić się ze schodów po pijaku... — Ta aluzja była przytykiem do Gorliwego, przypominałem sobie w końcu, skąd znam ten chujowy oficerski ryj. Akurat ten komisarzyk kilka dni po awansie tak się spił w komendzie, że spierdolił się ze schodów i rękę złamał, później kilka tygodni był na zwolnieniu. Głośno było o tym swego czasu w całym mieście...

Okrasa się zaśmiał, to samo zrobił Krzywy.

— Ja sobie was zapamiętam. — Dwukropek spojrzał na mnie wkurwionym wzrokiem i pod nosem ciągnął dalej: — „...efektywnie, brak wyników i legitymowanych. Nakazuję zwiększyć liczbę osób legitymowanych i wzmożyć represjonowanie obywateli. Służba nieefektywna!!!”. — Podkreślił i postawił trzy duże wykrzykniki. Ponownie spojrzał na mnie i na kolegę. Zrobił zamach ręką, w której trzymał długopis, po czym pisał dalej, mrucząc: — „Zakurzone buty służbowe, zakurzone spodnie, pas z kaburą u policjanta wisi na jajach, ogólnie wygląd niechlujny i brudny...”.

— Komisarzu, gdybym siedział za biurkiem — zacząłem już zły — to zapewne miałbym taki ładny mundurek jak pan, ale niestety ktoś musi chodzić w pełnym słońcu

po PKP i dworcach, które są zakurzone. Zapewne stąd niechlujny i brudny wygląd...

— Nie ma sensu tłumaczyć. — Szturchnął mnie kolega.

Obaj w milczeniu wyczekiwaliśmy już tylko końca tej farsy.

Po zapisaniu uwag w naszych notatnikach kontrola panów z KWP się zakończyła. Odeszli w swych pięknych czyściutkich mundurkach i wypastowanych bucikach, które niestety zakurzyły się teraz od piachu na peronie.

Może minęło dziesięć, a może piętnaście minut, jak pojawiła się kontrola numer dwa.

Kontrola z KMP

Tym razem staliśmy pod kładką, po której ludzie przechodzili z dworca PKP w kierunku miasta i centrum handlowego. Mostek dawał cień w ten cholerny upał. Po kilku godzinach patrolu w nakurwiającym prosto w nas słońcu pot ściekał nam po plecach w rowek dupy i zatrzymywał się w nasączonych już bokserkach. Gdyby nie czarny kolor munduru, mogłoby się wydawać, że zlaliśmy się w gacie. Koszulki lepiły się do pleców jak majtki i spodnie do dupy, w butach chlupało, jakby ktoś do nich nalał wody. Już wyobrażałem sobie ten smród, gdy je ściągnę na wydziale. Wycieranie co chwilę głowy nie miało sensu, bo wyglądało, jakbym się każdemu z przechodniów kłaniał co minuta. Więc pot zalewał nam także oczy, a jego słony smak powodował, że miałem chęć puścić pawia. Więc gdy tylko mieliśmy okazję, chowaliśmy się w cieniu, gdzie mimo wszystko upał także dawał się we znaki. W ręce trzymałem wodę mineralną, a kolega palił fajkę i gadaliśmy

o dziewczynie z kiosku, która mu się podobała. Brunetka z brązowymi oczami i dużymi...

Ktoś poklepał mnie w ramię...

— Jak cię, kurwa, klep.... — Obróciłem się gwałtownie, by zrugać tego, który śmiał mnie zaczepić. — Oj, przepraszam. — Za mną stał gość w szarży podinspektora, a za nim kolejny dwukropek. Czyżby wujek z bratankiem albo synuś z tatusiem? W tej firmie nic mnie już nie zdziwi. Wziąłem łyk wody, zakręciłem butelkę i odłożyłem na bok, by przystąpić do meldunku. Gdy inspektorek opukiwał moje ramię, bawiąc się w lekarza, Okrasa zdążył wyrzucić kiepa i stanął koło mnie. Niestety nie było mi dane się zameldować...

— A wy co!? — zaczął krzyczeć inspektorek. — Wodę pijecie na służbie!? Wasze zachowanie jest nieprofesjonalne, sierżancie! W mundurze z butelką...

— Inspektorze, nie stoję z butelką piwa, a jest ponad trzydzieści stopni... — chciałem jakoś spokojnie wytłumaczyć, chociaż już na dzień dobry dziad mnie wkurwił.

— Zamknij mordę! — krzyknął. Dla mnie tego było już za wiele. — Zakazuję wam picia wody na służbie, od tego macie przerwę! Kto jest waszym...

— Inspektor tak nie krzyczy, bo żyłka panu pierdyknie w tym gorącu — przerwałem krzyki, bo już mnie głowa rozboleła i czułem, że chuj zaraz mnie strzeli... — inspektor zakazuje picia wody przy trzydziestu stopniach, gdy ja z kolegą chodzimy dziesięć godzin po peronie!? — mówiłem szybko, a ciśnienie mi rosło. — To ja bym chciał wiedzieć, skąd pan przybył na kontrolę? Chciałbym napisać

odpowiednie pismo do kilku instytucji, że panowie oficerowie zabraniają picia wody przy, kurwa, trzydziestostopniowym upale...

Obu oficerom opadła kopara, spojrzeli po sobie. Inspektor obrócił się na pięcie i szybkim krokiem odszedł, skąd przybył, drugi potruchtał za nim. Sam nie wiedziałem, co się właśnie odjebało... Adrenalina opadła tak samo szybko jak szybko podskoczyła. Okrasa spojrzał na mnie i powiedział:

— Ty, a kiedy ty masz następny pieszy? — spojrzał pytająco, odpalając spokojnie drugą fajkę. — Bo zaczynam się ciebie obawiać. — Sztachnął się mocno. — Yghy, yghy, a z drugiej strony jeszcze nie widziałem, by oficer tak szybko zakończył kontrolę. — Obaj się zaśmialiśmy.

Trzecia kontrola przybyła godzinę przed końcem służby.

Kontrola z KGP

Chodziliśmy po dworcu tam i z powrotem, później o wyznaczonym czasie przechodziliśmy kładką na PKS. Tam ten sam rytuał co na PKP dookoła dworca, slalomem koło budek z hamburgerami, słodkimi bułkami, sklepem z szalikami Jagiellonii, obok budy z lodami i kilku innych stoisk. Później przerwa na fajkę Okrasy, chwila siedzenia na ławce, postraszenie łebców w dresach z czterema paskami, palącymi kiepy nie tam, gdzie trzeba. Rozmowa z kilkoma starszymi paniami i znów slalom, budki z pizzą, pitą i popitą, lodziarnia, a przy niej kilka miłych dziewczyn uśmiechających się do nas. Ponownie sklepik Jagi, a przy nim trzech zakapiorów w koszulkach z pszczołą,

o dziwo uśmiechnęli się na nasz widok, pokazując brak jedynek:

— Dzień dobry, panowie — powiedzieli, szczerząc klawiatury fortepianów. Szczery uśmiech, a tam czarne — białe — białe — białe — czarne... Każdy z nich wyglądał, jakby przeżył niejedną walkę w MMA.

Okrasa machnął do nich ręką, podobnie jak w serialu 'Allo 'Allo!, gdy włoski fircyk w kapeluszu z piórami, kapitan Alberto Bertorelli, pokazywał gest „Heil Mussolini”. Chłopaki od razu wyczuli swojego i odmachnęli do mojego kompana.

— Kurwa, a ty co, kolegów już szukasz?

— No co? Powiedzieli dzień dobry, to im cześć pokazałem — odparł.

— To pokaż im cześć po meczu, jak będziesz stał przy stadionie. — Zaśmiałem się.

— Czas poćwiczyć na siłce czy cuś — zaczął z innej beczki, obmacując swój brzuch.

— A nie masz dość łożenia przez dziesięć godzin na pieszym?

— Masz rację, na patrolu to po dziesięciu godzinach człowiek wyjebany jest jak koń Clint Eastwooda po westernie.

— Do tego w domu czekają dzieci, może z nimi coś porobisz, pobawisz się...

— I żona, która też czeka, żeby się z nią pobawić i coś porobić. — Mrugnął do mnie dwuznacznie. — He, he.

— Żebyś wiedział, że tak. — Zaśmiałem się razem z nim. — Ci, co siedzą za biurkiem, to mogą sobie

pozwolić iść na siłkę czy rozegrać meczyk z naczelnikiem...

— Ja jak wracam do domu, to padam na pysk. Biodra i plecy mnie napierdalają od noszenia pasa z bronią i kamizelki taktycznej. A jak jeszcze dorzucą na rozkaz Zielinokia hełm, peema* i kamizelkę kuloodporną, to mam dość siłowni na dwa miesiące...

— I bez tego nogi mi w dupę wchodzą po ciągłym szlifowaniu bruków...

— Kiedyś sporo ćwiczyłem przed firmą. — Rozmyślał Okrasa. — Przychodzisz do służby sprawny, a wychodzisz niepełnosprawny, fizycznie i umysłowo, ta głupota, co tutaj panuje, jest zaraźliwa...

— Ha, ha — zaśmiałem się smutno — nerwice i alkoholizm, a do tego kontuzje ze służby, które w miarę czasu się pogłębiają, bo przełożeni mają w dupie zaświadczenia od lekarzy, specjalistów...

Okrasa chciał coś jeszcze dodać, gdy podeszło do nas dwóch starszych dżentelmenów, szybkim ruchem wyjęli legitymacje z torebek, które mieli przyłączone do pasków spodni, torebek typu „pedałowy”:

— Inspektor Tomasz.

— I inspektor Trafny — dodał drugi — jesteśmy z KGP, kontrola wyrywkowa patroli.

Już chciałem się meldować...

— Nie, nie, nie róbcie zbędnej szopki, sierżancie. — Spojrzał na swojego kolegę. — Jesteśmy przecież po cywilnemu, nie będziemy się ujawniać. — Spojrzał przy tym na sklep, gdzie grzecznie stali kibice Jagi, którzy bacznie się nam teraz przyglądali. — Widzimy was

na patrolu, służba wykonywana prawidłowo, incydentów nie było?

Kręcimy z Okrasą głowami, robiąc wielkie oczy, jak kot ze Shreka. Takiej kontroli to jeszcze nie mieliśmy...

— Żadnych podejrzanych osób?

Kręcimy ponownie makówkami i szczęki nam opadają, wszystko grzecznie i kulturalne...

— A ci tam przy sklepie?

— To moi koledzy, inspektorze — odpowiada szybko Okrasa i znów robi „Heil Mussolini” do patrzących na nas osiłków. Oni znowu się uśmiechają, co trzeci ząb błyszczy w słońcu, i ponownie do nas machają.

— Tak, tak to jego koledzzzzy. — O mało się nie roześmiałem.

— Aaa to nie mam więcej pytań, oby tak dalej, panowie, oby tak dalej, do widzenia. — Wyciągnął rękę. — Bądźcie czujni, bo wicie: lato, panienki w mini chodzą, a dziewczyny lubią policjantów, oj lubią... Trzymajcie się, panowie. Zenuś, idziemy — zawołał inspektor Tomasz do swego kolegi i poszli w kierunku parkingu.

No to teraz to już pojechał, nooo taaakiej kontroli to nie mieliśmy nigdy.

— Można? Można — mówił kolega — widać trafiają się ludzcy oficerowie.

— Taaa, uwierzę, jak zobaczę takiego w akcji...

Faktycznie ta kontrola na długo zapadła nam w pamięć, dosłownie na jakieś... pół godziny. Po przejściu przez kładkę i znalezieniu się na terenie starego dworca PKP odezwała się stacja. To była czwarta kontrola tego dnia.

*Kontrola z WPI (Wydział
Patrolowo- Interwencyjny)*

- Szszyy, 21—016, gdzie jesteście?
- PKP. — Okrasa wyjął motorolę z kieszeni kamizelki.
- Nie widzę was!
- Kurwa, to se okulary załóż — powiedział kolega, a po wciśnięciu guzika dodał głośno — na wysokości wejścia na dworzec PKP.
- Dobra, czekajcie tam, szszyy...
- Ten jebnięty przyjechał!
- Kto? — zapytałem
- Kropelka, kurwa, na sto procent się do czegoś przypierdoli.

Stanęliśmy przy ścianie budynku, zaczęliśmy poprawiać kamizelki, mundur, zapinać kieszenie spodni. Okrasa napluł na buty i wytarł ich czubki o tylną nogawkę spodni:

— Co się tak patrzysz? — Spoglądał na mnie spode łba. — Nie przypierdoli się, że zakurzone jak tamten z wojewódzkiej...

No to chuj — pomyślałem i też naplułem na buty i szorowałem o tył nogawek mundurowych spodni. Ludzie oglądali się na nas jak na dziwaków, ale mieliśmy to gdzieś. Kolejna kontrola i ponowne przypierdalanie się, nie chciało się nam jeszcze popierdalać z buta do bazy, a tak, jeśli kontrola wypadnie, jak należy, to może nas kierownik zabierze radiowozem. Kto wie, może przełożony okaże swe ludzkie oblicze...

Patrzymy, idzie, gibając się na boki jak jakiś pierdolony krezus:

— Że jak to było? — pytam Okrasę, który śmieje się, patrząc na Kropelkę. — Coco Jambo i do przodu, ha, ha. — Śmialiśmy się i chuj, straciłem czujność...

Tuż przed nosem stanął mi kierownik, do niedawna aspirant, a teraz kolejny dwukropek. — Kurwa, na akord ich tam w tym Szczytnie napierdalają czy jak — śmignęło przez głowę. Patrzę na niego, a obok Pustostan szczerzy szczurzą mordę — ten chuj łysy co z rana kamerkę z Robakiem obsługiwał w krzakach. Patrzę na świeżutkiego jak poranny wytrysk oficera, a ten stoi i tańczy przede mną. Przebiera nogami, kiwając się przy tym w rytm niesłyszalnej murzyńskiej muzyki...

— Może byś się tak, kurwa, zameldował.

— A może by tak oficer przyjął postawę zasadniczą, a nie przebiera jak baletnica w ruskiej operze — wyrwało mi się jak z kałasznikowa. Jestem stanowczo zbyt nerwowy...

— Chuj, transportu do bazy nie budżet — szepnął Okrasa...

Kropelka poczerwieniał, stanął na baczność, to ja także, a za nami mój kolega i Pustostan.

— Melduję.... — odjechałem ponownie regułkę z pamięci.

— Notatniki do kontroli i mandatowniki — powiedział wkurwiony dwukropek, ale już nie tańczył, chyba mu się sikać odechciało. — Taaak, kurła, tak jak ja myślał, ty plus Okrasa równa się plaża ... W notatnikach — dodał po chwili, przeglądając kajecik — a tu proszę uwagi na czerwono, kto podpisał — przysunął bliżej oczu notatnik — goooorszki, gooorki.

— Gorliwy — podpowiadam — z KWP.

— I co, kurła? Od tamtej pory wy dalej żadnych legatów? Ani mandatów...

— Trudno mieć mandat, jak nie mają legitymowanych, Piotruś — przysunął się do niego Pustostan.

— A aspirant to pewnie studia filozoficzne zrobił? — zapytał Okrasa, patrząc na niego. Teraz było mu już wszystko jedno i tak razem z buta będziemy drałować.

— Sierżancie — krzyknął — ja was wyprostuję! Czego nie macie legitymowanych ani mandatów?

— Nie ma zagrożenia, nie ma wykroczeń, nie ma mandatów, to chyba normalne? — odpowiedziałem w obronie kolegi.

— Jak to nie ma zagrożenia? — Kropelka spojrzał na mnie. — Zagrożenie terrorystyczne jest.... — jego słowa zagłuszył właśnie zatrzymujący się z hukiem obok nas pociąg.

— Nie dosłyszałem, musi komisarz głośniej mówić, bo nie słychać — krzyknął Okrasa, zasłaniając przy tym uszy, bo gwizd zatrzymujących się wagonów był nie do zniesienia.

— Zagrożenie terrorystyczne! — krzyczał Kropelka. — Rozumiecie, debile!

Ludzie wysiedli i spojrzeli w naszą stronę, bo akurat przy ostatnich słowach, które wykrzykiwał dwukropek, hałas i gwizdy ucichły. Świeżo upieczony i niezwykle elokwentny oficer kontynuował:

— Każdy może mieć w walizce lub torbie bombę i może wysadzić dworzec... — Na te słowa kilku postronnych przechodniów przeżegnało się, po czym szybko gdzieś zniknęło.

— Jaja sobie kierownik robi? — zapytałem poważnie. — Że co? Że tu w Białym wysadzą dworzec?

— Nie dyskutować. — W tym momencie jego wzrok padł na grupę zagranicznych turystów wchodzących po schodach na kładkę. — O tam, patrzcie, ktoś idzie w turbanie, to jakaś grupa arabów, macie ich wylegitymować.

Noż kurwa, déjà vu jakieś czy coś? Już to przerabialiśmy na pierwszej kontroli. Okrasa szturchnął mnie i spojrzał pytająco.

— Komisarzu, po pierwsze to nie arab, a sikh*. — Wzięłem głęboki oddech. — Po drugie jesteście też policjantami i skoro widzicie zagrożenie, powinniście zadziałać. Ja zagrożenia ze strony sikhów nie widzę, bo oni wojen religijnych nie prowadzą. Czy mamy wraz z kolegą asekurować kierownika przy legitymowaniu? — Spojrzałem na niego pytająco. — Tylko trzeba się pospieszyć, bo oni są już dość daleko...

Kropelka, gdy zacząłem mówić, zapowietrzył się, zsiniał cały, oj, widać było, że wkurw go wziął nie lada. Patrzył na mnie i Okrasę wściekły, nie tego się spodziewał, ale co zrobić, skoro zamiast na przydupasów trafił na dwóch oporników. Ludzi, którzy służbę w policji kojarzyli nie z represjonowaniem, a z pomaganiem innym i przeciwdziałaniem przestępstwom i wykroczeniom, czyli działaniem prewencyjnym.

Patrzył zdumiony, po chwili zaczął mówić:

— Ja wam, ja wam...

— Co nam? — zaczął mój kolega, spojrzał na siniego Piotrusia. — Komisarz się nie denerwuje, bo karetkę trzeba będzie wzywać...

— Zajebię was obydwu... pieszy patrol do odwołania... zero ukrywania się na dworcu.... — szybko cedził słowa, dysząc. Wylewała się z niego wściekłość. Zaś obok stał jego przydupas, uśmiechnięty od ucha do ucha, i mu wtórował:

— I ja was dojadę..... i kontrole na każdej służbie..... i w kanciapie SOK-istów też nie ma chowania się...

— Kierownik nas nie straszy — zacząłem powoli — bo jak byliście obaj z Pustostanem dzielnicowymi, to żeście jeździli do swoich domów i tam siedzieliście. Albo prywatę na mieście załatwialiście, zakupy po sklepach i wizyty po lekarzach. A jak służby dodatkowe były, to nawet dupy nie ruszyliście z wydziału, a kasę wam komenda wypłacała, chociaż całą służbę w ping-ponga graliście. Teraz chcecie straszyć innych kontrolami? I pieszym patrolem? Ha, ha. — Zaśmiałem się gorzko. — Nie ma jak z chama zrobić pana, kto się wróblem urodził, orłem nie umrze. Krowiego gówna z filców nawet oficerskie gwiazdki nie zamaskują...

— Tyyy, kurrwwaaa, przegiąłeś teraz, zamelduję o tym Luckowi... — Aż zaczął podskakiwać z wrażenia. — Raport na ciebie napiszę...

— Tyyy — zacząłem go naśladować — to ja napiszę raport, jak zachowuje się świeżo upieczony oficer...

— Nie masz świadków...

— Zapomniał komisarz o mnie — zaśmiał się Okrasa.

— Chodź, Piotruś, idziemy, innym razem im dojebiemy. — Wkurwiony Pustostan pociągnął jeszcze bardziej wściekłego oficerka za rękaw. Kropelka oddał nam notatniki i już bez tańczenia oddalił się do radiowozu pozostawionego na parkingu na miejscu dla inwalidów.

— No cóż, prawdziwy inwalida, ale umysłowy — skwitował kolega — to co? Chuj z podwózki?

— Dzwonź do dyżurnego, niech przyśle patrol, który kończy, to zabierze nas do bazy...

Okrasa wykonał telefon do dyżurnego KMP ten zgodził się bez problemu, jak usłyszał, że chodzi o nas, o stały pieszy patrol z rejonu PKP i PKS. Z drugiej strony był to mój dobry kolega z kursu podstawowego i jak mógł, to zawsze pomagał, tym razem także.

Po piętnastu minutach siedzieliśmy już w srebrnej wydziałowej strzale. Za kierownicą Komar, a obok Żeluś:

— Co, chopocki, gorąco dziś — powiedział zmęczonym głosem Komar...

— Lepiej powiedz, jak tam kijanka się trzyma w takim upale, my jak zawsze damy radę...

— To nie ta jakoś co Passaciki i Vento z lat dziewięćdziesiątych, rozleci się to gównem po dwóch latach, wspomnicie moje słowa...

— Ok, to wieź nas do bazy — powiedziałem — i opowiadaj po drodze, co się działo na Białostoczku... — Sądząc po wyglądzie i minach chłopaków, musiało być niewesoło...

V

Czeczeni

Komar i Żeluś

— ... jedenaście interwencji i kurwa żadnej przerwy w ten pierdolony upał. — Wrzuciłem piątkę i dodałem gazu. — A ten skurwiel znowu nas wysyła na kolejną interwencję...

— Komar, nie denerwuj się, bo zawału dostaniesz albo ja przez ciebie, bo zapierdalasz jak pojebany — krzyczał prawy, ale bulaje częściowo zagłuszały jego słowa. Nasza srebrna strzała mknęła ulicami miasta.

Jechałem Piłsudskiego, mijając kolejne zjeżdżające na boki samochody, gdy nie pomagały bulaje, to napierdalałem w klakson z całej siły. Niestety niektórzy kierowcy jakby na złość zjeżdżali nie tam, gdzie trzeba, wtedy krzyczałem do Żelusia:

— Patrz na chodnik, czy nikt nie idzie!

— Nie idzie...!

— Okej.... — Gdy samochód wskakiwał po krawężniku na chodnik, wewnątrz otwierały się wszystkie klapki i drzwiczki, wypadały z nich dokumenty i inne pierdoły.

Papiery latały w powietrzu razem z nami i wszechobecnym kurzem oraz piaskiem.

— Ja pierdolę, jak na Dakarze! — wołał prawy, łapiąc wszystko co wypadło i wrzucając to z powrotem do schowków.

Rajdowóz skrzypiał i piszczął jak zarzynany, a niskie zawieszenie szurało o krawężniki. Nie było czasu do stracenia, z najbliższej okolicy było słychać już wycie co najmniej kilku radiowozów.

— Pytaj się, co tam się odpierdala...

— 03 do 12—223 — krzyczy prawy do gruchy...

— Zgłaszaaa do 223... szszyy

— Co tam się dzieje, szszyyy... na Białostoczku... szszyyy — słowa przerywa szum radiostacji...

— Bójka, szszyyy, a może nawet bitwa, szszyyy, chłopaków z Białostoczka z młodymi Czeczenami, szszyyy. Uważajcie, mają noże, szszyyy... Jedzie kilka ekip, szszyyy...

— Słyszałeś — krzyczy Żeluś — zapierdalaj...

Czerwone światła... Cisnę gaz do dechy, mocniej ściskam kierownicę i pędzę na wprost... Patrzę w lewo i prawo, kuuuurwaaa, z tej strony napierdala na nas jakiś Lexus z niemałą prędkością... Noga przytula pedał gazu do podłogi, omal jej nie przebijając na wylot...

— Łłłłłłłłł panie, któryś jest w niebie... — usłyszałem głos prawego, który aż wtulił się w fotel.

Krzyżówka pooszłaaaa, a tuż za nami śmignął jakiś pierdolony buc w luksusowym czarnym Lexusie, który nie widział niebieskich świateł, mijając dupę naszego radiowozu o centymetry.

— To by, kurwa, było, że znowu policjant winny, a chuj nawet nie spojrzy, że na bulajach napierdalał komuś na pomoc — przeklinam na głos. A w duchu „kurwa, kto wymyślił takie prawo, że uprzywilejowany pojazd ma ustępować na czerwonych światłach”...

Rondo Faustyny przecinamy tak, że o mało nie wypierdoliło nas z drogi. Ścinamy i skracamy, jak się da, by dojechać, zanim komuś stanie się krzywda. Prawy patrzy na mnie i stuka się palcem w czoło:

— Ty, kurwa, pojebany jesteś, Komar. Co ci mówiłem? — nadawał do mnie. — Życie i zdrowie twoje jest najważniejsze, kurwa! Jak się wypierdolimy, to trzeba będzie kolejny radiowóz do nas wołać i następny na interwencję. Mnie jest życie miłe, kurwa, ja po medale tu nie wstępowałem, zresztą na chuj mi odznaczenia, jak w trumnie będę leżał. A co ja, kurwa, zarabiam ledwie dwa i pół tysia... Niech komediant z naczelnikami nadstawiają karku...

— Nie pierdol, Żeluś, sam kazałeś zapierdalać, to jadę. — Śmiałem się. Tak naprawdę chłopak był przewrażliwiony, żona lada dzień miała rodzić kolejne dziecko, a on codziennie nadstawiał karku. Zresztą jak my wszyscy — pomyślałem — za damski chuj, premią sypną sto trzydzieści złotych na Święto Policji, a i to tylko co poniektórym. Sami zaś co miesiąc grubszą kaskę przytulają i obdarowują swoich przydupasów i kochanice, które potajemnie obracają przed żonami...

Za nami wyleciał z bocznej uliczki drugi rajdowóz, a za nim jeszcze jeden....

— Taaam — wskazał palcem prawy — między blokami się ganiają... — Kilkudziesięciu młodych mężczyzn gania się pomiędzy blokami z kijami bejsbolowymi i nożami, które błyszczą w pełnym słońcu...

Ostry zakręt w lewo, radiowóz znów niebezpiecznie przechyla się na bok. Zdumieni kierowcy stają po bokach drogi, a piesi biegną za radiowozami, żeby zobaczyć, co się dzieje... Śmigamy przez trawnik i stajemy z piskiem opon pod blokiem, za nami drugi, trzeci i czwarty pojazd... Wybiegamy, drzwi trzaskają, każdy z nas łapie gaz, a co niektórzy swoje lole... Ciężkie buty dudnią o chodnik... Bach, bach... Na nasz widok kilku śniadych gości zaczyna uciekać, rzucają kosy w trawę. Trzech naszych już za nimi biegnie... Na placu między blokami turla się jedna para, a obok nacierają na siebie grupki złożone z trzech Czeczenów i dwóch Polaków. Dwóch leży przy ławce na trawie w kałużach krwi... Patrzę w biegu na Żelusią, trzyma dwie butle z żelem pieprzowym i trzęsie w rozpędzie rękoma. Wpada między bijących się i psika im prosto w twarz, każdy wiedział, że ten gość uwielbiał to robić. Jego pseudonim właśnie wziął się od żelowania bandziorków, rzezimieszków i różnej maści oprychów. Zatrzymuję się jakby w locie, by na niego spojrzeć, wszystko na małą chwilę zwalnia. Żeluś jak Noe, bohater *Matrixa*, wygina się, a strumienie żelu z dwóch butli lecą w powietrzu w jedną i drugą stronę, dosięgając jednego ryja, a drugi omijają o włos. Mój kolega skacze między bijącymi się, jakby tańczył pierdolone flamenco, uchyla się od ciosu pięścią i znów podnosi butle z żelem. Strumienie galaretowatej pieprzowej cieczy ponownie się wzbijają, trafiając lub nie, ale wygląda

to przepięknie. Akcja przyspiesza i kolejna porcja gazu leci ode mnie, grupa rozpierzcha się na boki, próbują uciekać, ale przydusza ich żel, który mają na ryjach. Skaczę jednemu kolanem na klatę, pada na ziemię, tam obracam gościa i wyciągam z kabury przy pasie kajdanki...

— Komar! — Słyszę za sobą krzyk Żelusia. — Komar! Do mnie, kurwa! — Wrzeszczy na całe gardło...

Oglądam się, a na plecach prawego wisi jakiś Czeczen, a drugi usiłuje go dźgnąć nożem, celując w klatę. Puszczam gościa leżącego pode mną, kopiąc go w ryj ciężkim butem, już nie ucieknie, „zasnął” i będzie czekał, aż go ktoś skuje... W oczy szczypie gaz rozpylony w powietrzu... Biegnę jednak na pomoc koledze, a ten szamota się, bo mniejszy Kaukaz wisi mu na karku i go dusi. Drugi chciał zadać cios nożem i zamachnął się, ale Żeluś chwycił jedną dłońią za ostrze, krew zaczęła kapać na trawę. Widząc to, skurwiel pchał kosę w stronę mego kolegi jeszcze mocniej. Odległość od nich może trzy, może pięć metrów, a czas jak w smole, biegnę, a wydaje mi się, że stoję w miejscu. Jak w pierdolonym śnie gdy próbuję biec, a nogi ani drgną... Kolejny skok i z góry zadaję cios pięścią w ryj Wajnacha*, ten obraca się w moją stronę. To wystarczyło, by Żeluś zrzucił z pleców mniejszego gościa, którego zaczął okładać piąchą. Następnie przykuwa go do pobliskiej karuzeli, wszystko zrobił w mgnieniu oka, był z niego stary doświadczony pies. Czeczen, który został ze mną, wyciągnął szeroko ręce, w których przerzuczał kosę. Zawinął ją w dłoni ostrzem do dołu i zamachnął się w moją stronę. No kurwa, jakiś lepszy kozak — pomyślałem. Uskoczyłem do tyłu, kosa świsnęła tuż przy mojej głowie, nacinając lekko prawe ucho. W tym momencie prawy

wskoczył na plecy rezuna, założył mu chwyt duszący, powalił go na ziemię i docisnął gnoja do gleby.

— Hhhyrrhyrr — zacharczał. — Pan, Pan, hhyrr, puści Pan hhyrr — prosił przez ściśnięte gardło.

— Kurwa, z kosą na nas, ni chuja! Zaraz zaśniesz, kurwa... — I ścisnął gnoja jeszcze bardziej. Temu gałki się obróciły, ręczki z nożem opadły i on także osunął się bezwładnie na trawę. Rozejrzałem się po placu, wokół pełno ludzi, telefony powyciągane i nagrywają, w oknach też sporo osób z telefonami. Wszędzie biegają nasi koledzy, dojechało jeszcze kilka radiowozów, skuwają i w pierwszej kolejności prowadzą do aut tych, co nie uciekli. Ludzie wiwatują, jak prowadzą Czeczena.

— Kurwy ciapate...

— Wypierdalać z Polski...

— Pałować chuja, ile wlezie! — I takie różne teksty...

Gdy koledzy skuwają kolejnego Polaka z osiedla, tłum burczy groźnie:

— Psy jebane..

— Szmaty policyjne...

— Swojego zamykacie...

Na miejscu jest już kilka karetek, zabierają dwóch Polaków z ranami kłutymi. Z tego co się dowiaduję, oni pierwsi byli zaatakowani, gdy grupa z Kaukazu wpadła na osiedle z nożami. Wzburzenie wśród mieszkańców osiedla rozumiem, sam mam dorosłe dzieci. To nie pierwszy incydent, odkąd po drugiej stronie drogi władze ulokowały uchodźców z Czeczenii. Bójki, kradzieże w sklepach i osiedlowych klatkach, napady na młodzież i inne ekscesy z ich strony stały się codziennością, nie było dnia, by jakiś

patrol tu nie przyjeżdżał. Miejskowa władza starała się tuszować wszystko z uwagi na poprawność polityczną, a ludzie mieli tego dość. Tylko co my mogliśmy zrobić? Jako policja musieliśmy być bezstronni i udzielać pomocy jednej i drugiej stronie. Nie mogliśmy też dopuścić, by zlinczowano jakiegoś Czeczena.

Kolega podniósł z ziemi ocuczonego rezuna i gdy prowadził go do Volkswagena Transportera, podniosły się głosy:

— Jeszcze raz tu wrócisz, to cię zajebimy, chuju ciapaty...

— To on dźgnął pierwszy naszego chłopaka...

Czeczen szarpnął się, jakby chciał uciec:

— Pan, nu pan, nie ja dźgnął, to one pierwsze... — zaczął łamanym polskim z mocnym ruskim akcentem.

— Nie ty, to kto, one nie miały noży — powiedziałem naśladując jego mowę — a dwóch pociętych pojechało do szpitala...

— No pan, ja nie...

— Dobra, słuchać mi się nie chce, Abdullah jebany — warknął Żeluś — a do nas kto, kurwa, z kosą skakał!? Też nie ty!? To zamknij ryj, bo znowu cię uśpię...

Wajnach zamknął się i grzecznie wsiadł do trzeciej klasy transportera. Jeszcze krótkie opatrzenie mojego ucha i dość głęboko ciętej ręki prawego.

— Jeden z waszych jest w szpitalu — powiedział sanitariusz. — Czeczen mu zajebał kosą pod żebro, nie wiadomo, czy się z tego wyliże...

Spojrzelśmy po sobie, spuściliśmy głowy. Żeluś popatrzył na ręce, na tej, którą miał obwiniętą białym

bandażem, pojawiała się coraz większa czerwona plama... Objąłem go ramieniem, wiedziałem, że już kiedyś przeżył śmierć jednego z kolegów z wydziału...

Obok nas przeszedł kolejny funkcjonariusz, prowadząc Polaka.

— Buuu, buuu...

— Za kim wy jesteście, kurwy...

— Do obierania ziemniaków by się wzięli, a nie swoich łapią.

— Do Stonki na kasę zapierdalać, psy jebane...

Tłum ludzi, zarówno mieszkańców osiedla, jak i przybyłych, nagrywających nas gapiów, jak zwykle był bardzo wdzięczny za naszą pomoc. Niemalże namacalnie czułem ich uznanie dla tego, co przed chwilą zrobiliśmy... Jakiś kamień przeleciał nam nad głowami, rozległy się gwizdy i groźby.

Żeluś stanął:

— Powiedz, warto pomagać takim ludziom? — Spojrzał na mnie głębokim smutnym wzrokiem. — Komar, jutro składam papiery na emkę... — Spuścił głowę i wsiadł do naszej srebrnej strzały.

Pozostałe załogi szybko zbierały się do radiowozów, a za nimi odjeżdżały karetki...

Tego dnia podano, że na jednym z osiedli w Białym doszło do niegroźnej bójki, w której ranny został policjant i dwóch chłopaków z osiedla. Zaprzeczono, by winnymi byli uchodźcy z Czeczenii, których zresztą szybko wypuszczono. Ranny policjant kilka miesięcy dochodził do siebie — odszedł ze służby. Po kilku miesiącach odszedł też Żeluś,

policjant z dwudziestoczteroletnim stażem, w stopniu sierżanta sztabowego z trzecią grupą zaszeregowania. Żaden z przełożonych nie podziękował mu za służbę i wielokrotne poświęcenie z narażeniem życia i zdrowia.

Komar i Żeluś do tej pory są przyjaciółmi...

VI

PdOZ

Syf, kiła i... Czopek

Faluś odkliknął się na wejściu swoją klikaczką*. Drzwi komedii otworzyły się jak czarodziejskie wrota w bajce *Alibaba i 40 rozbójników*. Za drzwiami przesuwali się w lewo i prawo przybyli na służbę policjanci i pracownicy cywilni. Stanął w drzwiach, rozejrzał się, na chwilę zamknął oczy, wziął głęboki oddech i zrobił wielki krok do przodu, przekraczając próg do innego świata. Drzwi zasunęły się za nim z lekkim szelestem. Kurwa — pomyślał — kolejny rok, kolejny miesiąc i kolejny dzień w tej zakłamanej chujni... Głośno zaś dodał:

— Cześć! — zwracając się do kilku przechodzących obok kolegów.

— Cześć! — Kilku zerknęło na niego spode łba, żaden się nie uśmiechnął ani nie powiedział nic więcej, więc Faluś ruszył dalej korytarzem, minął kolejne drzwi, które musiał odkliknąć, by się otworzyły, i wyszedł na dziedziniec. Spojrzał przed siebie i ponownie zaklął:

— Ja pierdolę! — Szybkim krokiem minął stojące w szeregu radiowozy, po dwudziestu metrach doszedł do stojących w kolejce na dołek dwóch fiatów dobło i jednej kabaryny. Każdy wóz przywłókł do PdOZ przynajmniej jednego jeńca. Wbiegł po schodkach i zatrzymał się przy kracie, którą otworzył mu jakiś sierść* z opecji* zakrywający ręką nos. Podali sobie łapę i wszedł na dołek, dotarł do niego niesamowity smród moczu, kału, wymiocin i niedomytych ciał oraz ludzkiego potu...

Na korytarzu natknął się jeszcze na trzech zomowców*, trzymali przyciśniętego do podłogi jakiegoś wijącego się agresora. Miał ręce skute do tyłu, a na głowie czarny kask ochronny, by nie zrobił krzywdy sobie ani komuś innemu. Tarzał się po ziemi i wył jak zarzynane prosię, spodnie zasrane i mokre od moczu. Trzech zomowców ledwo dawało radę go utrzymać.

Faluś wyminął ich i wszedł do kanciapy, w której siedzieli chłopaki obsługujący dołek. Za biurkiem Lodziarz, a na przyjęciu jeńców Biskup. Strzelił z chłopakami żółwika i bez słowa ruszył do szatni. Nie minęło pięć minut i już był w mundurze, jeszcze spojrzał na buty, oparł lewą nogę o parapet okna. Charknął i na nie splunął, przetarł je kilka razy rękawem granatowego swetra. Wyjął z metalowej szafki słoik z kawą i ruszył do kuchni. Ponownie szedł korytarzem, tym razem stukając obcasami policyjnych lakierków świecących się jak psu jajca. Minął gromadkę z agresorem i wszedł do pomieszczenia ze starą rozlatującą się mikrofalą, malutką lodówką, stołem z metalowym blatem i takim samym zlewem. Przy oknie stał Czopek, który coś potajemnie wpychał do buzi. Przybyły ogarnął wzrokiem

kuchnię, zobaczył na blacie styropianowy czarny kontener, w którym przywożono jedzenie dla zatrzymanych. Wieko kontenera było uchylone, a kilka znajdujących się wewnątrz białych pojemników było otwartych. Faluś od razu załapał, że ten stojący gość przy oknie ponownie wpierdala żarcie dla zatrzymanych. Nie pierwszy raz przyłapał dupowłaza, jak wpieprza karmę dla jeńców.

— Czopek, kurwa, a ty nie miałeś przyjść na noc? Poza tym znowu kradniesz żarcie zatrzymanym...

Stojący w kącie Czopek przełknął szybko jakieś resztki:

— Odpierdol się, jestem dziś na korytarzu, to się nie wpierdalaj. Zamieniłem się z Adwokatem — odpowiedział na pierwsze pytanie — nocka mi nie pasuje.

— Taaa, a może przyszedłeś się podkarmić, rozumiem, gdybyś resztki brał jak chłopaki dla psów, ale...

— Spierdalaj, chuj cię to obchodzi — stojący w rogu Czopek wyszedł, trzaskając w złości ręką w metalowy blat. — Lepiej przyjdź zaraz do dyżurki, bo przejmujesz służbę, a już w chuj zatrzymanych mamy....

Faluś wysunął środkowy palec lewej ręki w stronę wychodzącego. Nastawił czajnik, zalał kawę i z gorącym kubkiem wszedł do dyżurki. Po zapoznaniu się z papierami, kwitami, protokołami i wszystkim, co było do obejrzenia, podpisania i sprawdzenia, siorbnął solidnego łyka kawusi.

— Dobra, chłopaki, wszystko gra — powiedział do Łodziarza i Biskupa, którzy czekali już przebrani na wyjście z dołka do domu. — Stan pomieszczeń jak zwykle skandaliczny. Niewystarczająca liczba koców i dresów, odpryskujący lakier grubości paznokcia. — Chłopaki patrzyli na niego zdziwieni. — Co się, kurwa, patrzycie? Dostyc tego

ukrywania, co tu się dzieje, może czas ruszyć dupy i coś z tym zrobić, a nie narzekać ciągle, że syf jest! — Spojrzał na siedzącego przy blacie Czopka. Ten dłubał w nosie i toczył kulki z zawartości tego, co wyjął z głębin swych nozdrzy. Robiąc przy tym niestworzone miny i przewracając gałkami małych ślepi. — Debil, kurwa — mruknął pod nosem. — Okej, możecie iść. — Przybił ponownie z chłopakami żółwika, tym razem na pożegnanie.

Z nieukrywanym obrzydzeniem rzucił:

— Czopek, świnió jedna! Łłeee, wołaj lepiej zomowców.

Czopek, wyrwany ze swych rytualnych czynności, wytarł palucha o ścianę i krzyknął:

— Dawać tu mi którego...

Siedzący za biurkiem i pełniący obowiązki dyżurnego Faluś pomyślał ponownie, że kolejny dzień musi się męczyć z debilami. Zaś chłopaki z opecji spojrzeli po sobie, uświadamiając sobie, że ten, co ich woła, wciąż dłubiący w nosie, ma coś ze łbem nie tak, jak trzeba. Zomowcy wprowadzili człowieczka w kasku.

— Najebany, a w dodatku jakiś pierdolony ćpacz* — powiedział jeden ze szwejów*, sadzając delikwenta na ławeczce pod ścianą.

Teraz rutyna wzięła górę nad policjantami z dyżurki. Faluś zadawał pytania o zdrowie, powód zatrzymania, sprawdzał protokoły i kolejne papiery, które przynieśli funkcjonariusze, tym razem dotyczące tego konkretnego jeńca. Czopek założył lateksy* na ręce i sprawdzał rzeczy zatrzymanego, które podali zomowcy. Reklamówkę z resztkami jedzenia, jakieś ubrania mokre od moczu i zawartość portfela, a na końcu kazał go rozkuć:

— Będziesz grzeczny? Jak nie, to pójdziesz w kaftan bezpieczeństwa i będziesz tak kwiczał, aż cię zabiorą za czterdzieści osiem godzin — zagroził zatrzymanemu.

— Bęęęęę spooookojny — powiedział przywleczony kilka minut wcześniej mężczyzna — teee kuuurwy mmmnie wwwkuuurwiajo, daajjj tylkooo coś piiić i zaaapaaalliić...

— Teraz wyskakuj z ubranka, później dostaniesz pić — odpowiedział obrzydliwiec.

Pijany albo naćpany, tego do końca nie było wiadomo, zatrzymany zaczął się rozbierać, chwając się na nogach. Zdjęte ubranie rzucał na podłogę. Koszula, buty, zaszczone spodnie ze śladami kału... Chłopaki z opecji odskoczyli na bok, po podłodze przebiegło kilka robaków wyskakujących z ubrań, kilka pluskiew i coś jeszcze:

— Kurwa, pchły! — krzyknął jeden. — Ja pierdolę, a ja tego chujca trzymałem i klęczałem na nim...

— Pchłyyyy to macieeee wyyyy, pieesskii... — wydukał goły już człowiek. — Hauuu, hauuu — ja mammmm wszszszyy, heeheeheee...

— Zamknij się, bo ci jebnę — powiedział jeden z zomowców.

Czopek złapał butlę bioseptolu*, po czym zaczął przyskać po ubraniach ćpuna. Alkohol wszedł w reakcję z moczem i wydzielinami znajdującymi się na ciuchach, smród stał się jeszcze większy, a spod kupki ubrań wybiegło jeszcze więcej żyjatek...

— Ja pierdolę, Czopek! — krzyknął Faluś. — Tym nie zabijesz tego robactwa, a tylko zwiększasz smród...

Robaki rozbiegły się po dyżurce i widać było jak mumki* skaczą po blacie lady rozdzielającej pomieszczenie na strefę

dla zatrzymanego i dyżurnych. Zatrzymany siedział spokojnie na ławce, kiwał się na boki i iskał włosy na kłacie. Jak złapał jakąś wesz, to zgniatał ją o ławkę, na której siedział, z cichym plaśnięciem, które oznajmiało, że zginęła pod jego pazurem.

— Daj mu jakieś dresy i zaprowadź do celi, bo obaj zaniesiemy wszy do domu...

— My to już chyba mamy — drapali się chłopaki z zomozy.

— I co powiem żonie, że taka służba z narażeniem życia, zdrowia i załapania wszy... — ciągnął jeden — z domu na zbity pysk mnie baba pogoni, mundur będę musiał wygotować...

— Idźcie, zgłóście dyżurnemu, że może wszy załapaliście, niech was zwolni, żebyście coś z tym syfem zrobili — Faluś zaproponował chłopakom. — Niech który skoczy i krzyknie na stacji, no i rajdowóz do dezynsekcji... — Jeden z nich wybiegł szybko z dyżurki.

— Żadnych dresów — zapiszczał Czopek cienkim głosem — osrany jest i zaszczany, do tego wszy i pluskwy, nich zakłada z powrotem swoje łachy..

— Pojebało cię, ma założyć dresy! Dziś od początku służby podnosisz mi ciśnienie... — nie dokończył zadnia, bo przerwał mu Czopek.

— Nie będziesz mi mówił, co mam robić, ja rządę tu, a ty za swoim biurczkiem, więc się nie wpierdalaj — warknął. — Zakładaj swoje rzeczy raz dwa — dodał do ćpuna.

— Ok, jak chcesz, ja piszę, że nie wydałeś...

— Pisz, co chcesz, ja robię tak, jak naczelnik każe, dresów jest mało i mamy je oszczędzać.

— Wszystkiego jest, kurwa, mało: dresów, pościeli, koców, materacy...

— Ale ja w dupie mam, że będzie chodził zasrany, wolę dostać premię od Trąby i wykonywać jego polecenia...

— Taaa, ty zwykła kurwa jesteś, za sto złotych tak ludzi szanujesz i w dupę włazisz naczelniczkom...

— A co, kurwa, mają kupić dwa tiry dresów, pościeli i kocyków dla takich wszarzy jak ten?

— Niech kupią tyle, żeby starczyło, kurwa...

Szweje stali i zdumieni słuchali kłótni profosów*, tymczasem zatrzymany ubrał się z powrotem w zarobaczone, zasrane i zaszczane ubranie. Kłótnia nabierała na sile, gdy na dyżurkę wszedł chłopak, który miał poinformować dyżurnego, że być może załapali weszki od zatrzymanego.

— Skurwysyn jeden! — w nerwach krzyknął do kolegów. — Powiedział, że radiowóz mamy umyć i jeździć nim do końca służby... No tak mnie już coś gryzie, że nie wytrzymam do końca... — kłął pod nosem.

Czopek wyminął chłopaków, w przelocie groźnie spojrzał na Falusia:

— Czekaaj, kurwa, jak ja siądę na miejscu dyżurnego!

— A ty mi grozisz?

Czopek nic nie odpowiedział, złapał za ramię zatrzymanego i pociągnął go za sobą, prowadząc na koniec korytarza. Faluś spojrzał w monitoring:

— Patrzcie, chłopaki, jaki chuj złamany, specjalnie prowadzi gościa do ostatniej celi, żeby nocka musiała tam

biegać. Ale nie pomyśli debil, że dopiero służbę zaczął i przez dwanaście godzin sam będzie napierdalał po korytarzu tam i z powrotem...

— Ha, ha, widać, że to debil, ha, ha — zaśmiali się chłopaki.

Kilka dobrych godzin trwało przyjmowanie wszystkich jeńców, sprawdzanie dokumentacji, protokołów, zaświadczeń lekarskich, dowodów i innych. Obaj profosi już padali ze zmęczenia, a minęły dopiero cztery godziny służby. Czopkowi pot po dupie spływał, bo latał co chwilę do którejś celi. Jeden chciał srać, drugi szczać, a jeszcze inny wodę lub na fajkę. W międzyczasie wydali śniadanie, a później zebrali pojemniki. Już wydawało się, że będzie spokój, jak przywieziono totalnie pijanego gościa, był napierdolony w trzy dupy. Patrolowcy wnieśli go na dyżurkę.

— Kurwa, na izbę z nim wypierdalać — krzyknął Czopek.

— Jak na izbę, jak on spoza Białego jest? — powiedział dowódca patrolu w stopniu sierścia. — Przecież wiecie, że miasto ma w dupie gminy i na izbie lordów* nie przyjmują nikogo spoza miasta...

— No i chuj, przecież do was pretensji nie mamy — powiedział Faluś. — Komendant miejski i wojewódzki mają nas w dupie, to przywozicie tuptusiów* do nas...

— A ty co byś zrobił? — przerwał wywód Czopek.

— Debilu, przecież policja ponosi olbrzymie koszty za trzymanie pijaków — zaczął wkurwiony dyżurny PdOZ. — I nie mówię tu o samym trzymaniu żuła! Brak lekarza, brak pasów przy sarkofagach*, każde wezwanie karetki pokrywa policja — wyliczał Faluś.

— A chuj mnie to obchodzi, rozbierać go!

— Czekaście, ja tu rozkazuję. — Główny profos spojrzał groźnie na kolegę. — Panowie, a zaświadczenie od lekarza? Przecież on powinien być na detoksykacji w szpitalu.

— Panie sierżancie — zaczął młody posterunkowy od kilku miesięcy po szkole policyjnej — lekarz napisał, że ma być pod waszą stałą obserwacją...

— Jeszcze raz powiesz do mnie panie, to oberwiesz w ryj, Faluś jestem. — Zaśmiał się. — Do Czopka możesz mówić na pan, on z tych, co lubią w dupę włożyć i lubią jak im ktoś też włoży, więc pewnie jeszcze przed emką karierę zrobi. — Teraz zaśmiali się wszyscy oprócz wymienionego. Faluś spojrzał na papier od lekarza i czytał głośno: — „Osoba w stanie upojenia alkoholowego, brak kontaktu werbalnego, nie wie, gdzie się znajduje i jaka dzisiaj data. Zalecam stałe monitorowanie osoby z uwagi na możliwość padaczki alkoholowej, możliwość zadławienia się we śnie lub bezdech senny, podejrzenie zespołu Korsakowa. Może przebywać w PdOZ...”. Reszta niewyraźna. — Odłożył pismo na bok, odchylił się opierając o ścianę, założył ręce za głowę i popatrzył po zebranych. Po chwili powiedział: — No i jak, kurwa, powiedzcie mi, lekarz może przysłać w takim stanie człowieka na dołek? Gdzie nie ma opieki medycznej, kuuuurwwaaa! Każdy ma nas totalnie w dupie, a jak gościu zejdzie, to kto będzie winny? Ten, co ma służbę, ja pierdolę...

— Ty, na dziewiątce jest jeden co od wczoraj do wytrzeźwienia tu przebywa, to może niech go pilnuje — powiedział dupowłaz pojednawczo. — Albo do tego co z samego rana go przyjęliśmy z czwórki?

— Nie, ten z czwórki do sprawy jest. Dobra, daj go na dziewiątkę i sprawdź!

— No to go rozbieramy, panowie...

Chłopaki pomogli Czopkowi zdjąć zaszczane ubranie z ledwie żywego pijaka, które później spakowali w czarny worek. Zostawili go w samych majtkach i za ręce i nogi zanieśli do celi. Położyli go na sarkofagu, a Czopek przyniósł mu koc, którym go okrył.

— Ja też chcę, kurwa, koc! — powiedział drugi pijaczyna, który na dołek trafił o trzeciej w nocy i wciąż jeszcze był najebany. Dupowłaz jemu też podał koc i wodę w plastikowej butelce po napoju.

— A co to, kurwa, jest? — zapytał żulik.

— No wodę wam przyniosłem, z kranu, zimna...

— Zapalić chcę! Daj papierosa — zażądał pijak.

— Ja nie palę, kolega też...

— Jak nie dasz, to rozpierdolę tu wszystko — straszył.

— To w kaftan pójdziesz...

— Zobaczymy...

Patrol, który przywiózł nietomnego tuptusia zawinął się i pojechał w swój rejon..

Faluś w tym czasie rozpisывał papiery, wprowadzał dane zatrzymanych i doprowadzonych do wytrzeźwienia w dziesiątki ksiąg i zeszytów, których końca nie było widać. W jednym zeszycie, kto i za co, w drugim, co wydano i po co, w trzecim, gdzie był i co robił...

Dupowłaz wrócił i siadł na krześle:

— Kurwa, może w końcu śniadanie zjem...

— Chyba nie będzie ci dane. — Dyżurny spojrzał na ekran monitora.

Obraz był podzielony na kilkanaście małych okienek, które odpowiadały poszczególnym celom i na których

widoczni byli osadzeni. Powiększył okienko z numerem dziewięć. Jeden niedawno przyjęty osobnik leżał pod kocem, a drugi ustawił się w stronę kamery i zdjął gacie. Złapał się za kutasa prawą ręką i zaczął go trzepać, śmiejąc się do kamery. Czopek o mało nie zakrztusił się dopiero co ugryzioną kanapką. Pobiegnął szybko do celi, otworzył drzwi i zaczął się drzeć:

— Co ty, kurwa, odpierdalasz!?

— Chodź do mnie, kochasiu — powiedział walący konia pijaczek i ruszył w stronę Czopka, trzymając się za sztywnego już kutasa.

— Łłłaaaaa — krzyknął dupowłaz jak dziewczynka i uciekł, zatrzaskując metalowe drzwi.

— Ha, ha, Czopek, piszczysz jak dziewczica przed stosunkiem, ha, ha. — Śmiał się Faluś. Jednak za chwilę i jemu już nie było do śmiechu. Pijaczek przykucnął przy jednym z sarkofagów i nasrał na podłogę. Wziął gównem w ręce i zaczął rzucać w kamerę, na monitorze widać było jak fekalia rozbryzgują się na osłonie obiektywu, zasłaniając widok. — Kurwaaa! — krzyknął profos. — Czopek, dawaj kaftan.

Dupowłaz pobiegł po kaftan bezpieczeństwa, po czym obaj weszli do celi, wcześniej wciskając guzik alarmowy, by przywołać dyżurnego miejskiego z komendy. Po uchyleniu drzwi okazało się, że żul pomazał już gównem większość ścian, wolne sarkofagi i siebie. Fetor kackupy był nie do wytrzymania. Chłopaki wycofali się za drzwi:

— Czekaj. — Faluś pobiegł do dyżurki. Po chwili był już pod celą. W ręce trzymał dwie maski zrobione z małego kawałeczka materiału. — Spryskałem je bioseptolem,

nie będzie tak jebało. — Podał jedną dupowłazowi, założyli je i zawiązali z tyłu. Profosi zaciągnęli się wonią spirytusu, który był w odkażaczu, ale nawet to nie pomogło przy tym smrodzie, spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

Weszli ponownie do celi. Pomimo masek i tak jebało. Czopek uchylił maskę i puścił pawia na śpiącego menela, który został niedawno przywleczony. W tym momencie rzucił się na niego osrany od stóp po czubek głowy ten, który od tej pory nazywał się po indiańsku Koniobijem. Zanim dupowłaz się podniósł od rzygania, Koniobij wysmarował mu ryj gównem, zdzierając maskę. Faluś z całej siły zdzielił go kopem w brzuch tak, że ten padł na kafelki. Wkurwiony, umazany gównem i swoimi rzygami Czopek rzucił się wściekle na niego. Założyli mu kaftan z niemałym wysiłkiem, bo menel wił się po całej celi. W końcu wywlekli go na korytarz i zaciągnęli związanego jak prosiaka do innej celi, tamta pozostała otwarta. Przecież było ich tylko dwóch, a z komendy jeszcze nikt nie przybył na pomoc. Wrzucili Koniobija między sarkofagi na jedenastce:

— Stój tu, kurwa — krzyknął zziębnięty ze zmęczenia i ubrudzony fekaliami Faluś — i patrz na niego. Pobiegł czym prędzej na dziewiątkę: — Jaaapierdolęęę — usłyszał krzyk Czopek. Nie mógł jednak zostawić tego w kaftanie samego.

Gdy Faluś wbiegł na dziewiątkę, zobaczył, że ten przywieziony rano, który nie mógł sam ustać na nogach, leży teraz między sarkofagami z rozjebanym łbem i trzęsie się cały w delirce. Złapał go za nogi i wyciągnął spomiędzy łóżek. Spojrzał na twarz pijaczka, nos skrzywiony

i leje się z niego krew, a na czole nad łukiem brwiowym spora krwawiąca rana.

— Chuj wstał i zajebał łbem w sarkofag — powiedział do siebie. Pobiegł do pokoju lekarskiego po bandażę... Gdy wracał biegiem korytarzem, w kracie drzwi wejściowych zobaczył dyżurnego miejskiego:

— Otwórz, Faluś — wołał.

— Kurwa! Przecież wiesz, że my kluczy nie mamy, zapierdalaj po klucze i to już, bo dym jest — krzyczał profos. — Jeden skuty w kaftan, drugi leży z rozjebanym łbem, a chuj wie, co się dzieje w innych celach, bo nie ma kto pilnować monitora. Nas, kurwa, tylko dwóch jest... A na sto procent się przypierdoli któryś z jaśnie panów oficerów...

Dyżurny miejski obrócił się na pięcie i już biegł co sił przez plac komendy z powrotem po klucze.

— Karetkę wezwij... kurwa! — krzyknął jeszcze za nim Faluś i wbiegł do celi, gdzie leżał nietomny pijak. Pochylił się do niego i przystawił ucho do ust, palce na szyję: — Jeszcze zgonu tu brakuje. — Zaczął uciskać klatę gościa i po trzydziestym uciśnięciu pomyślał — ni chuja nie będę sztucznego oddychania mu robił, błeeee — i ponownie zaczął uciskać klatę, sprawdzając, czy menelik zaczyna oddychać. — No, kurwa! Oddychaj wreszcie! — krzyczał przy tym i znów ręce na klatę i z całej siły ucisk w dół... Nagle coś trzasnęło pod rękami i klata pijaczka zapadła się trochę niżej niż przewidywane sześć centymetrów. — Upss, kurwa — szepnął wystraszony profos. — No nie ma chuja, trza dalej uciskać...

W tym momencie usłyszał dźwięk otwieranej kraty i do PdOZ weszło kilka osób wraz zastępcą komendanta, którego zdążyli już powiadomić dyżurni miejscy o wydarzeniu:

— A ten na chuj mi tutaj? — powiedział sam do siebie Faluś.

Za nim dwóch skurwiałych naczelników ze sztabu, pod który podlegał PdOZ, Grzmot i Trąba, a także dyżurny miejski, który zapomniał kluczy i patrol z WPI, zaraz za nimi wsunęli się też sanitariusze. Od razu pobiegli na pomoc profosowi, ten usiadł na podłodze wsmarowanej gównem, rzygowinami oraz krwią. Ciężko oddychał, a pot lał się z czoła, niełatwo ratować komuś życie w takich warunkach...

— Jesteście pozamiatani, Faluś — powiedział Grzmot.

— Co tu się odpierdoliło! — wtórował mu Trąba.

— Życie, samo życie na dołku — powiedział profos, ciężko wstając. — Może naczelnicy sami spróbują popracować tu dwanaście godzin. W smrodzie, z pijakami, narkomanami, wszami, narażeniem na HIV, żółtaczkę i bez żadnej przerwy w służbie...

— Jak, kurwa, żadnej przerwy — krzyczał Grzmot — macie cały czas przerwę i w dupach wam się przewraca...

— To może naczelnik sam sobie weźmie tę dwunastogodzinną przerwę — powiedział Faluś, przeciskając się do wyjścia.

Obaj naczelnicy odskoczyli od niego jak oparzeni:

— Kurwa, nie dotknij mnie tylko — pisał Trąba.

Dyżurny dołka popatrzył na nich:

— Powinienem teraz pójść do domu, bo nie mam się w co przebrać, a zostało jeszcze ponad sześć godzin służby.

— Ni chuja, nigdzie nie pójdziesz, kogo ja dam na twoje miejsce.

— A nie może naczelnik sam tu popracować, przecież przeszkolenie pan ma i trwa tu wspaniała długotrwała przerwa — szydził Faluś.

— Pogadamy, jak ci dobieję za to, co się tu stało, postępowanie masz jak w banku. — Naczelnik patrzył na profosa z pogardą.

— Panowie — wtrącił zastępca komendanta, który na razie się przysłuchiwał — zrobimy tak, teraz pojedziesz do domu — powiedział do profosa — przebrać się i wykąpać. Wasze miejsce zajmie jeszcze jeden patrol, który zaraz tu ściągniemy. Wy, panowie, sprawdzicie na monitoringu, co tu zaszło i napiszecie mi szczegółowy raport.

Jeden patrol zmienił Czopka, który również udał się do domu, jak się miało okazać już na cały dzień. Drugi patrol zaś zasiadł w dyżurce, a wraz z nimi Grzmot, który miał przeszkolenie odnośnie do służby w PdOZ. Faluś uwinął się w półtorej godziny, brudny mundur wrzucił do starej pralki stojącej w warsztacie. Zapakował do torby czarne moro i wrócił do komendy.

— Ten czas ci odliczę, nie myśl sobie, że wyjdiesz ot tak z dołka i...

— No chyba sobie naczelnik jaja robi? Jeśli tak, to ja piszę skargę do KWP — wkurwił się Faluś.

— A w dupie mam twoje skargi, odejmuję ci dwie godziny...

— Zobaczymy! A gdzie Czopek?

— Puściłem go do domu, nie miał się w co przebrać i był cały brudny...

— Jak to, kurwa! A ja to co? To wasz przydupas i podpierdalacz jedzie do domu, a ja po czymś takim mam tu dalej siedzieć?

— Jeszcze słowo, a ujebię cię z etyki! — zagroził Grzmot.

— No to już! Dać długopis i kartkę naczelnikowi?

Grzmot wyszedł, trzaskając drzwiami PdOZ, za chwilę wrócił:

— Zaraz przyjedzie do ciebie Adwokat, z nim dokończysz służbę... I przygotuj wszystkie papiery dotyczące tego, który zemdłał, i tego Koniobijca. Monitoring już komendant z naczelnikiem Trąbą zgrali, będzie postępowanie wyjaśniające... — I ponownie trzasnął drzwiami, zamykając je na klucz.

Po piętnastu minutach przyjechał kolega, który miał zastąpić Czopka. Jeden patrol zwolniono do dalszej służby na ulicy, a drugi pilnował Koniobijcy. Faluś opowiedział wszystko Adwokatowi, kolegowali się obaj, odkąd się poznali na którymś ze szkoleń, gdy byli w dochodzeniówce. Obaj za karę w końcu trafili jako „spady i debile” do PdOZ, tu miano zrobić z nimi porządek. Adwokat przejrzał monitoring z dziewiątki, a w końcu zaczął przeglądać i inne cele. Gdy przewijał obraz z celi numer cztery, zobaczył, że osadzony obraca się tyłem do kamery, wkłada rękę w gacie, a później tą samą rękę, a raczej palce ładuje do buzi. Widać było, jak trze palcami o dziąsła i wkłada je do nosa:

— Co on robi? — zapytał.

— Może jaja sobie myje... — Faluś nie miał ochoty rozmawiać. Był wkurwiony całą sytuacją sprzed kilku

godzin.

Adwokat jednak nie odpuszczał tak łatwo, powiększył obraz z celi czwartej i obserwował. W końcu mówi:

— Patrz!

Profos spojrzał na monitor, widać było, jak człowiek wsadza rękę w majtki i wyciąga z nich coś przezroczystego:

— No, kurwa! Co za dzień, włączaj alarm, chuj ma prochy schowane w gaciach. — Ruszyli szybko w kierunku celi, przyciskając guzik alarmowy.

Jeden z chłopaków z patrolu, który pilnował gościa w kaftanie, pobiegł im z pomocą. Wpadli do celi, ćpacz rzucił się na nich z łapami. Szybko go obezwładnili i rzucili na podłogę. Adwokat z patrolowcem trzymali gościa przy ziemi, a Faluś zdjął mu gacie, z których wypadł woreczek strunowy z białym proszkiem w środku. Właśnie w tym momencie wszedł na celę Grzmot z Kropelką.

— No patrz, Kropelka, pedały z PEDOzetu nie umieją nawet w dupę zajrzeć, żeby prochy znaleźć.

— Kto tu jest pedałem naczelniku? — wkurwił się Adwokat. — Mówi naczelnik o sobie!?

— Przyjmujecie ludzi na dołek i nawet ich nie sprawdzacie, kurwa! — krzyczał Grzmot.

— Oooo, to wasz protegowany, Czopek, sprawdzał tego gościa i jak coś, to on mu w dupę nie zajrzał. — Faluś wstał i rzucił woreczek w kierunku naczelnika. Ten odsunął się, by go nie złapać:

— Co wy mi tu woreczek rzucacie, w dupie trzymał, a wy go do mnie dajecie — rozdarł się na całego naczelnik.

— Toż naczelnik taki sam policjant jak my, to nie łaska rączek już ubrudzić? — szydził Adwokat.

— Kolejne postępowanie będzie — Kropelka spojrzał na Falusia — wylecisz na zbity pysk przed emką, kutasie!

— Nie wiem, kto tu jest większym kutasem, komisarzu. — Profos wstał, jakby miał zamiar przyjechać jednemu i drugiemu. Hamowało go tylko to, że wtedy faktycznie poleciałby z etyki. Ale cios w głupi ryj jednemu i drugiemu jak najbardziej się należał. — Cóż, wasz protegowany poleci razem ze mną, są świadkowie, że nie sprawdził zatrzymanego.

— Ale ty jesteś dowódcą zmiany... — powiedział Grzmot — i ty będziesz miał przejebane. Czopek straci dodatek, a wy mnie wkurwiacie i polecicie... — Obrócił się na pięcie. — Kropelka, chodź, trzeba znowu zgrać monitoring, ja nie wiem, jak to zrobić.

Profos spojrzał na Adwokata i na patrolowca:

— Niezła chujnia, co? Pedały... No tu już przegiął, nie podaruję mu tego... — Chłopaki pokiwali głowami...

Tego samego dnia Faluś dostał wiadomość, że pijak, którego ratował, zmarł w szpitalu. W postępowaniu wyjaśniającym zrzucono winę na niego jako dowódcę zmiany, że doprowadził do nieumyślnej śmierci. Nikt nie wziął pod uwagę, że lekarz wyraźnie wpisał, iż nie ma przeciwwskazań do pobytu osoby w PdOZ, że Faluś i Czopek w czasie ataku alkoholowej padaczki byli zajęci Koniobijcem. Profosowi dorzucono jeszcze kilka artykułów związanych z drugim osadzonym, który ćpał w celi. Jak obiecał Grzmot, swojego przydupasa wybronił... Adwokatowi również wytoczono postępowanie o ćpacza, choć on zaczął służbę w zastępstwie Czopka. Obaj funkcjonariusze się odwołali...

Dupowłaz nieoficjalnie został namaszczony na stanowisko kierownika po odejściu Titanika dotychczas pełniącego tę funkcję.

VII

Wisła Kraków i Motor Lublin vs. NOP*

Pierdolony Leonidas...

Do KPP zjeżdżali się funkcjonariusze zbudzeni porannymi telefonami dyżurnego. Ogłoszono alarm dla całego stanu etatowego NOP z powiatu. Zarówno z posterunków, komisariatów, jak i spod kołderek wyrwano wszystkich, których wcielono do tego zacnego, skurwiałego tworu. Nikt tu nie był w nagrodę, więc wszyscy zjeżdżali się opornie. Szósta rano, każdy ziewa, w szatni robi się tłoczno, dziewczyny latają z kubkami, robią kawkę dla każdego kto poprosi. A ich koledzy szykują się do pobierania ciężkiego sprzętu. To już kolejny zarwany weekend, kolejny alarm, bo trzeba jechać pilnować jebanych kiboli.

— Kto to, kurwa, wymyślił — krzyczą wkurwieni bracia Wafle. Mieli dziś jechać na ryby z Gałką, Silnym i Koksem...

— Jak kto? Jakiś pierdolony politykas z 01 KGP się dogadali — wtrącił się wszechwiedzący Prawnik, sporo wiedział, czytał wszystkie gazety i interesował się polityką. — Policja to najtańsza ochrona, po co klub ma

płacić za pilnowanie swoich kiboli. Lepiej na miejsce wezwać policję, najtańsza, kurwa, opcja. Państwo zapłaci i podatnik, a jak coś rozjebią kibole, to będzie czyja wina? No czyja?

— Nasza — odparło kilku stojących przed magazynem NOP-u.

— Nasza — dokończył Prawnik — jak zwykle wszystkiemu winna jest policja. Jak są strajki, to jest policja, zabezpieczenia miesięcznic, obecna policja, protesty pielęgniarek, nauczycieli, górników czy mechaników, jest przy tym policja, mecze Ekstraklasy, też tam jesteśmy. Więc tam, gdzie są wszelkie zadymy, jest obecna policja, widać wszelkie zło pochodzi od nas. — Teraz już wszyscy się śmiali z tego dowcipu. — Więc na kogo winę zwalić, jak coś się stanie? No, kurwa, na policję!

W końcu przybył kierownik Wacik ze swymi przybocznymi dowódcami drużyn. Otworzyli magazyn, każdy po kolei brał czarne ochraniacze na nogi, ręce, żółwika* i szare, śmierdzące szczynami kaski ochronne z milicyjnym orzełkiem. Parę osób bierze duże butle z gazem pieprzowym, wszyscy zaś łapią za czarne sztywne szturmowe pałki i rękawiczki ochronne. Kilku wyznaczonych wzięło tarcze z pleksi, a kilku pobrało mossbergi*. To drużyna strzelb, oni zapakowali w kieszenie po kilka pudełek bąków* i chrabąszczy*. Mieliśmy jeszcze sporo czasu, by ruszyć w kierunku Lublina. Brakowało kilkunastu osób, reszta rozeszła się po pokojach, aby dopić poranną kawę i zjeść śniadanie, które niektórzy zdążyli ze sobą zabrać.

— To już piąta niedziela z rzędu, jak trzeba zapierdalać gdzieś w Polskę, bo stan wyższej gotowości dla NOP-ów

i OPP wprowadził komediant wojewódzki. — Słysząc rozmowę z jednego z pokoi. — Chuj kogo interesuje, że ludzie nie mają wolnego weekendu któryś już raz z rzędu i nie mogą go spędzić z rodzinami, dziećmi i żonami. Towarzystwo „panów” oficjerów każdy weekend ma wolne, a ty, człowieku, zapierdalasz jak murzyn.

— Bo my robimy za takich ochujalców, nie ma zgrania, to mają nas w dupie. — Było słysząc drugiego. — Trzeba się zgadać z chłopakami z innych powiatów i wyjechać na LQuattro, tak żeby sami pojeździli ze dwa tygodnie na te pierdolone mecze.

Na korytarzu stał Wacik i wszystko skrzętnie notował w swoim malutkim dzienniczku, akurat szedł jeden z jego ulubieńców.

— Misiek, zobacz do szesnastki, kto tam siedzi? I daj mi znać.

— A co będę z tego miał?

— Dostaniesz premię, Misiu. — Uśmiechnął się ładnie kierownik.

— Dobra, zaraz przyjdę...

Wacik poszedł do swojego pokoju, a pluszowy przydupas wszedł do pomieszczenia, z którego dochodziły niepoprawne, z punktu widzenia oficjerskiego, rozmowy. Zakreślił się po pokoju, niby czegoś szukając, zapamiętał nazwiska kilku osób i pobiegł do kierownika. Parę osób zwróciło na niego uwagę, ale rozmawiający i tak mieli go w dupie. Po prostu mieli już dość traktowania ich jak śmieci, choć wiedzieli, że konfident doniesie kierownikowi, a ten napisze notatkę do starego.

Misiek wszedł do pokoju Wacika:

— Kurwa, może byś zapukał! Wchodzisz jak do obory, kurwa!

— To mam wyjść? — zapytał. — Mogę nic nie mówić.

— Nie no wchodź, wchodź — zaśmiał się kierownik — ale premia będzie mniejsza...

— To chuj, wyłażę. — I konfident zakręcił się w drzwiach, udając, że chce wyjść.

— No dobra, wracaj — widać podziało — żartowałem przecież, trzysta premii w następnym miesiącu, może być?

— Nie, trzysta teraz i trzysta za miesiąc, to i tak brutto, to chuj. A kierownik dostanie więcej za podpierdolenie — targowali się między sobą.

— Dobra, niech będzie, gadaj, którzy to znowu nawołują do pójsia na zwolnienie.

— Siedział tam Waluś, Generał, Pastorał, Prawnik, Kowal, Waleczny i Nowy...

— Aaa cała drużynka Wróbla i większość z KP Aniopol. To już mają pozamiatane, stary ich doceni, jak należy. A dzisiaj drużynka Wróbla trafi na szpicę...

— Ale Wróbla tam nie było — zaczął Misiek.

— Nie umie ich dopilnować, to będzie z nimi. — Kierownik zatarł ręce. — Akurat dzisiaj my stoimy najbliżej kiboli i będziemy ich prowadzić do autokarów. Mam nadzieję, że im dopierdolą.

Godzina dziewiąta piętnaście, zbiórka na placu, sprzęt zapakowany do transporterów. Każda grupa przydzielona do odpowiedniego radiowozu. Kabaryny miały założone dodatkowe osłony w postaci krat na szyby i światła. Wacik

przeszedł wzdłuż szeregu, sprawdził, czy wszyscy są, w końcu stanął przed drużyną Wróbla.

— Na jutro wszyscy notatki wyjaśniające dla komendanta...

— Jakie notatki? — zapytał Nowy.

— A notatki na temat taki, o czym to rozmawialiście w pokoju i dlaczego chcecie nawoływać innych do pójścia na zwolnienie lekarskie! — krzyczał kierownik. — Zgodnie z zasadami etyki, którą złamaliście, prawdopodobnie wobec was wszystkich będzie przeprowadzone postępowanie wyjaśniające.

— Znowu straszenie — wkurwił się Kowal — nic tylko straszyć potraficie, a zadbać o nas to już nie...

Nie skończył, Wacik przerwał mu wywód.

— Komenda dba o was cały czas, nie możecie mi powiedzieć, że się nudzicie od paru weekendów, he, he — zaśmiał się szyderczo — a dziś ja też zadbam szczególnie o waszą grupę. Pamiętajcie, że komendant jest jak ojciec, a kierownik jak wasza matka, skurwysyny! — Każdy teraz spojrzał na imbecyla, ale ten w ogóle się tym nie przejął. — Do radiowozów, ochujalce! — wydarł mordę. — Wsiadać, ale już, na dziesiątą trzydzieści mamy być na miejscu.

Kolumna ruszyła z placu KPP w kierunku Lublina. W jednej z kabaryn trwała ożywiona rozmowa. Sześciu chłopaków siedziało z tyłu, Prawnik prowadził, a Wróbel siedział jako prawy, w końcu był dowódcą. Całość wyjechała na sygnałach świetlnych i błyskowych na krajową dziewiętnastkę, gdzie natychmiast dołączyła do nich grupa NOP-u z Janowa, która już czekała na stacji paliw, a później jeszcze grupa z Opola. Kilkanaście transitów pędziło

w kierunku Lublina. Na rozkaz dowodzącego całością inspektora Bociana radiowozy pruły ponad sto dwadzieścia. Transitami bujało na boki, a ludzie w nich latali jak kartofle na wykopkach, trzymając się siedzeń, bo pasy w drugiej klasie już dawno były pozrywane. Bocian chciał być na miejscu jak najszybciej, by błysnąć przed dowodzącym całym zabezpieczeniem zastępcą komendanta wojewódzkiego, a nuż jakiś awans na niego spadnie. Przez wioski i miasteczka popierdalał więc nasz bujający się na boki policyjny konwój jak jakieś pierdolone wesołe miasteczko, a nie poważna służba państwowa.

Nagle Prawnik depnął po heblach, siedzący przy ścianie trzeciej klasy polecili mordami na kolana kolegów siedzących naprzeciwko. Kował zajebał o kolano Nowego, aż mu się ząb wygiął, zaś Waluś nabił sobie spore limo o szturmówkę Generała.

Wszyscy wyskoczyli z radiowozów, dwa samochody przed nami osobówka, czerwony Fiat Tipo Station, wbiła się centralnie w bok jednego z naszych aut. Sytuacja była taka, że cała kolumna wjechała na czerwonych światłach i sześciu naszych przeskoczyło, a siódmy już nie zdążył. Bo facet jadący Tipo nie zauważył kolumny na błękitnych światłach napierającej przez miasteczko, całe szczęście, że chłopaki zwolnili. Chuj centralnie wjechał, wbijając się w sam środek transita. Jadący za nim radiowóz wjechał się w jego tył. Także oba fordysy nadawały się na lawetę. Sprawdzono, czy kierowcy Tipo nic nie dolega. Ten, gdy zobaczył tylu ludzi w mundurach, bał się wyjść z rozbitego samochodu. Wezwano karetkę i ruchaczy* na miejsce kolizji. Chłopaki z Janowa wysiedli o własnych siłach, inspektor Bocian

powiadomiony o zdarzeniu zatrzymał kolumnę i podjechał do skrzyżowania, na którym doszło do incydentu. Wokoło zebrało się mnóstwo gapiów, którzy głośno komentowali całą sytuację i oczywiście nie omieszkali wyjąć telefonów, by wszystko nagrać. Bocian wezwał kierowców i dowódców radiowozów, którzy byli uczestnikami zdarzenia i staranowania przez pierdołę w Tipo. Widać było, jak gestykuluje i drze japę na chłopaków.

— Kurwa, przecież pół kolumny przejechało na czerwonym, korzystając z uprawnień wozu uprzywilejowanego — wkurwiał się Prawnik.

— Tak, tylko u nas jest takie zjebane prawo, że masz zachować szczególną ostrożność, wjeżdżając na skrzyżowanie jako pojazd uprzywilejowany — powiedział Wróbel — zobaczysz, że chłopakom wjebią mandat.

— Ja bym się za chuja nie zgodził — krzyczał rozdrażniony Prawnik.

Bocian ostro darł japę do załóg rozbitych samochodów:

— ...do lekarza jutro pójdziecie, dzisiaj nikomu nie zezwalam. Pakować się do innych radiowozów wraz ze sprzętem i jedziemy dalej...

Skurwiel popakował chłopaków po innych radiowozach, a więc w każdym jechało teraz po ośmiu ludzi siedzących w drugiej klasie. Każdy ścisnął dupę tak, żeby kolega się zmieścił. Inspektor miał gdzieś bezpieczeństwo i komfort jazdy innych.

— Sam na przodzie napierdala kijanką, a reszta niech się, kurwa, męczy — narzekał Pastorał.

Po spakowaniu sprzętu i ludzi z rozbitych wozów ruszyliśmy dalej.

Na skrzyżowaniu pozostali kierowcy rozbitych fordów i sprawca zamieszania, który wciąż wyglądał, jakby miał dostać zawału. Jak dowiedzieliśmy się przez stację, ruchacze ocenili sytuację tak jak podejrzewaliśmy. Mandatu nie otrzymał osobnik, który wbił się w kolumnę jadącą na sygnałach dźwiękowych i świetlnych, gdyż wjeżdżał na skrzyżowanie na zielonym. Kierowców radiowozów ruchacze chcieli pouczyć, ale na wyraźny rozkaz Bociana nałożyli mandaty, jednemu za wjechanie na skrzyżowanie na czerwonym świetle, a drugiemu za niezachowanie bezpiecznej odległości od poprzedzanego pojazdu.

— Weź tu, człowieku, jedź komuś na ratunek — mówił Generał. — Czy policja, czy karetka, jak ktoś w nią wykurwi na czerwonym na krzyżówce, to inni będą sto razy myśleć, zanim się rozpędzą.

— Po co w ogóle włączać bulaje? — pytał Waluś. — Jadąc normalnie jak każdy pojazd, też dojedziesz, a niebezpieczeństwa dla nas nie będzie.

— Dokładnie, nie wykurwi nikt w ciebie ani ty w nikogo — dodał Kowal.

Widać było, że te same dylematy męczą ludzi w innych radiowozach. Pomimo rozkazów Bociana żaden nie przekroczył dozwolonej znakami prędkości. Mimo że koguty wyły i światła błyskały, transyty jechały dziewięćdziesiąt na godzinę.

— Za spóźnienie odpowiedzą dowódcy drużyn i wasi kierownicy — wrzeszczał do stacji inspektorek.

Zanim Wróbel zdołał powstrzymać Prawnika, ten podniósł do ust gruchę:

— Mam cię w dupie, mam cię w dupie, eeeee. — I się rozłączył.

Wszyscy zamarli.

— Ha, ha, eeee. — Poleciało w eter z innej stacji.

— Eeee. — Następny i następny.

— Ciszaaaa! — Ponownie dał się słyszeć krzyk Bociana. — Banda debili!

— Chyba tych w stopniach oficerskich — powiedział ktoś poważnie i spokojnie przez radio.

Zapadła martwa i wymowna cisza. Kijanka z inspektorkiem pognęła do przodu, zostawiając całą kolumnę bez dowódcy. Wszyscy patrzyli w zdumieniu na to, co się dzieje. W radiu zapanował jazgot, jakiego nikt nigdy nie słyszał. Wacik był w radiowozie z inspektorem, więc nie było z nimi żadnej kadry kierowniczej. Szesnaście radiowozów, ponad stu policjantów z kilku komend powiatowych waliło na Lublin samopas.

Wróbel wziął gruchę w łapy:

— Zamknąć mordy, ja teraz dowodzę jako najstarszy stopniem. — Był starszym aspirantem. Wziął oddech. — Na pewno na nas czekają przed Lublinem i dadzą nam popalić. Weźcie się w garść i pokażcie, że jesteście policjantami, a nie bandą jełopów jak ten kretyń, co nas zostawił. Przepuście naszą kabarynę na przód. Wiem, gdzie mamy jechać. Punkt zborny to parking przy stacji paliw przed stadionem Motoru Lublin.

Prawnik wyprzedził kolumnę i od teraz jechał na jej czele. Jak się okazało, nikt na nas nie czekał przed Lublinem, a inspektorek pogrzała prosto do KWP. Przyjechaliśmy godzinę przed wpuszczeniem kibiców na stadion i dwie

przed rozpoczęciem meczu, który miał się zacząć o trzynastej.

Z rozkazu Wróbla wszyscy ubierali się w pezety*. Ochraniacze, żółwiki, rękawice i na koniec śmierdzące szare kaski. Kto miał kominiarkę, zakładał ją na głowę, by skóra nie dotykała wnętrza syfiastego kasku. Z drugiej strony placu spoglądała na nas lubelska opecja. Odpicowani w nowych pezetach i białych porządnym kaskach. Usłyszeliśmy ich śmiech i docinki na temat naszego wyposażenia.

— Się kurwa śmieją pedały, mają szczęście, że dobry sprzęt dostali na euro*, bo inaczej do tej pory by zapierdalali w tym, co my mamy — burknął pod nosem Nowy.

— Co racja, to racja — przytaknął Waluś, zakładając kominiarkę i na to kask — kurwa! Przez tę jebaną szybkę nic nie widać, cała porysowana.

— Może nie będzie potrzeby się zasłaniać. — Poklepał go po plecach Generał.

Gdy już byliśmy przebrani, a do meczu pozostało czterdzieści minut, na miejsce przybył Wacik.

— My dzisiaj obstawiamy wejście na stadion i pilnujemy kibiców Wisły — objaśniał wytyczne ze sztabu KWP, nie wspominając słowem o zejściu w drodze na Lublin. — Jak będą wracać ze stadionu, to my ich odprowadzamy do autokarów. Drużyna Wróbla będzie przy samym wejściu i prowadzi szpicę wracających. Kibice już stoją przed wejściem, zbieramy się i idziemy, opecja już ruszyła.

Faktycznie OPP zbierało się i szło w kierunku stadionu. My także ruszyliśmy w kilku kolumnach. Dwie grupy kibiców wyzywających się nawzajem rozdzielał kordon

naszych z Lublina. My stanęliśmy po jego lewej stronie, naprzeciw kibiców Wisły Kraków.

— Łołołooooo łooołooo — tłum śpiewał i skandował: — ...
*jak długo na Wawelu Zygmunta bije dzwon, tak długo nasza Wisła
do Gdańska płynie stąd...*

— Czerwonoooo — białołooo — niebieeeescyyy — darł
jakiś ryja przez megafon naprzeciwko nas w szalu
w kolorach klubowych, z napisem na koszulce „Wisła
Shark”.

Po chwili reszta podchwyciła jego krzyk i darli ryja:

— Czerwonoooo — białołooo — niebieeeescyyy,
czerwonoooo — białołooo — niebieeeescyyy...

Po chwili zaintonował jakąś melodię i kibole zaczęli wyć:

— *Boi się nas Legia Warszawa,
Boi się nas Chorzów Ruch...
Teraz Motor Lublin dostanie wpierdol znów...*

Tłum z drugiej strony policyjnego muru również wył
i śpiewał:

— *Robotniczy klub sportowy
Motor z Lublina trójkolorowy,
Owinięte szalem głowy,
Słysząc w całym mieście...*

Po chwili słysząc krzyki przez szczekaczkę wodzireja
z Motoru Lublin:

— *RKS Motor, RKS Motor, RKS Motor,*
Motor Lublin to my,
Jebać Avię i Legię,
Jebać Wisłę też!
Łłłłłłłł, łłłłłłłłłł...

I wiele głosów:

— *Żółłłłłłł — białołłłłłł — niebiescyyyyyy, żółłłłłłł —*
białołłłłłł — niebiescyyyyyy... i gromkie oklaski.

Ktoś rzucił racę w stronę kordonu oddzielającego obie grupy, a później drugą i trzecią, szyki OPP zwały się. Kilka tysięcy kiboli Motoru zaczęło nacierać na kordon, prowokując naszych kolegów. Pałki poszły w ruch, zobaczyli to kibole Wisły i pomimo że trzymali kosę* z Motorem, to mając wspólnego wroga, czyli policję, postanowili wesprzeć przeciwną drużynę kiboli. Rozległy się wrzaski i przyspiewki:

— *Ty, kurwo, zostaw kibica, zostaw kibica,*
Ty, kurwo, zostaw kibica, zostaw kibica.

Kibole Motoru darli ryje:

— *Białe kaski robią laski, białe kaski robią laski... —*
Szum, krzyki, gwizdy i śpiewy.

Teraz, oprócz rac, zaczęły lecieć w stronę kordonu także petardy.

— *Nie jest źle! —* Krzyczał Wróbel — *zaraz wpuszczą ich na stadion i będzie spokój...!*

Wbrew jego słowom kibole powoli stawali się coraz bardziej zuchwali i agresywni, za moment miały zostać

otwarte bramy i ochrona miała wpuścić ich na sektory. Ale chwilowa sztama między kibolami chyba za bardzo ich podnieciła. Krzykacz z Wisły podniósł megafon i zaintonował:

— Kto nie skacze, ten z policji, hooop, hooop, hooop...

Kilka tysięcy gardeł, pieprzonych debili z obu stron, podjęło ten krzyk:

— Kto nie skacze, ten z policji, hooop, hooop, hooop...

Kto nie skacze, ten z policji, hooop, hooop, hooop...

Z obu stron poleciało kilka petard w naszą stronę. Wydawało się nam, że mamy szczęście, bo staliśmy we wnęce prowadzącej do bramy wejściowej.

— Kurwa, co za pojebusy, dobrze, że nas ten Wacik tu postawił, przynajmniej nic na nas nie leci — krzyczał Kowal.

W tym momencie kilkadziesiąt metrów od stadionu stanęło kilku oficerów oddzielonych kolejnym kordonem od kibiców. Zobaczyliśmy tam naszego Bociana z megafonem. Ten podniósł go do ust i zaczął mówić do kibiców obu drużyn:

— Policja uprasza was o spokój! Jeśli nie zastosujecie się do wymogów prawa, nie wpuszczimy was na stadion...

— Łuuuuu, łuuuuu! — rozległo się wycie. Tłum z Wisły i Motoru obrócił się w tamtą stronę. — Łuuuuu, łuuuuu! — Teraz tam poleciały race i petardy. Bocian schował się do radiowozu wraz z kolegami, którzy jeszcze przed chwilą stali obok, i odjechali.

— Co za pojeb — mówił Wróbel — wkurwił kiboli i spierdolił!

On wiedział, co mówi, nie pierwszy raz był na meczu o podwyższonym ryzyku. Najpierw ultrasi z Wisły natarli

na kordon, który do tej pory stał, osłaniając ekipę ze sztabu, która uciekła. Później dołączyli do niej kibole z Motoru. Opecja stojąca przy naszym NOP-ie ruszyła na pomoc kolegom, a za nimi część osób, które z nami przyjechały. Kibole cofnęli się wściekli, nie wiadomo skąd poleciały nagle w kierunku policji metalowe kosze na śmieci wyrwane ze stojaków. Później deski ławek i kostka brukowa...

— I chuj, zaczęło się — krzyknął Wróbel — panowie, trzymać się blisko!

Kordony opecji cofnęły się o kilkadziesiąt kroków.

— Do mnie, kurwaaa! — darł się starszy aspirant — do mnie...

Gdy oddziały OPP wycofały się, wyszło na to, że około trzydziestu może czterdziestu osób z naszego NOP-u pozostało odciętych przez kiboli obu drużyn. W tym nasza grupka. Wróbel postanowił zebrać wszystkich w okolicach bramy, tam, gdzie staliśmy my. Z jednej strony była to pułapka, ale z drugiej nikt nie mógł zejść nas z boków ani z tyłu. Pozostałe grupki szybko do nas podbiegły, dowodzący przeliczył chłopaków.

— Trzydzieści trzy osoby, pięć mossbergów, trzy butle z gazem, dziewiętnaście osób z tarczami — liczył — chuj, damy jakoś radę.

Te „jakoś” wcale nas nie ucieszyło...

— Tarcze do przodu! — dodał, po czym zauważył, że między nami jest kilka dziewczyn. — Dziewczyny, które mają tarcze, oddają je kolegom. — Nastąpiła szybka wymiana. Zostały jeszcze dwie z tarczami. — Umiecie strzelać z mossbergów? — zapytał tych dwóch, które zostały, wolał nie ryzykować, by stały z przodu z tarczami.

— Umiemy — odpowiedziała jedna.

— Oki, łapać za strzelby!

Ponownie nastąpiła wymiana, w samą porę, bo kilkudziesięciu kiboli Motoru i Wisły przypomniało sobie, że za ich plecami została grupka policji. Wściekli obrócili się w naszą stronę i biegiem natarli na trzymających tarcze. Próbuąc je wyrwać, kopali w nas i uderzali. Dziewczyny z tyłu, jak tylko któryś miał się przedrzeć przez szereg z tarczami, waliły szturmówkami gdzie się dało i gdzie popadło... Wróbel w odwodzie trzymał chłopaków z mossbergami, od czasu do czasu tam, gdzie było groźniej, posyłał któregoś z butlą gazu. Oni podbiegali i zza naszych pleców psikali w większą liczbę kiboli gazem. Wtedy grupki jebanych ultrasów na chwilę odstępowały, wycierając ryje i krztusząc się.

— Czuję się jak pierdolony Leonidas w drużynie pojebańców takich jak ja — krzyknął Nowy i wywinął spektakularną ósemkę szturmówką, podrzucając ją jeszcze do góry, a gdy ją złapał, zdzielił jakiegoś skaczącego mu na tarczę kibola, aż ten zawył z bólu.

— Ha, ha! — Zaśmiali się wszyscy, choć kibole zebrali się ponownie i zastanawiali, jak nam dopierdolić.

Kilku miało w rękach deski z połamanymi ławek, jakieś kosze, butelki po piwie i kostki brukowe.

— Kurwa, zawsze się zastanawiałem, jak oni te kostki wydzierają z chodnika? — głośno zapytał Waleczny. — Pazurami to drą, kurwa, przecież łomów ze sobą nie mają?

— Toż przecież to są jebane orangutany, popatrz tylko na nich. — Wskazał czarnulą, Waluś. — Oni jak małpy się zachowują i na sto procent drą tę kostkę łapami.

Ledwo skończył mówić, jak dwie kostki brukowe spadły za naszymi plecami. Wróbel kazał dziewczynom wycofać się bardziej pod kratę bramy. Cofnął też do nich pięciu ludzi z tarczami, żeby wyłapywali latające w ich kierunku kamienie, kostkę i inne ciężkie rzeczy. A robiło się gorąco. Skurwysyny zaczęli rzucać, czym popadnie, podnieśliśmy tarcze w górę, kamienie i bruk jak deszcz zaczęły odbijać się od pleksi tarcz. Wszyscy cofnęli się w kierunku zamkniętej bramy. Kibole, widząc to, zawyli wściekle:

— Dojebać psy!

— Zajebać te policyjne kurwy! — Dało się słyszeć z każdej strony.

Skurwysyny bali się gazu, więc wpadli na pomysł, by nas zarzucić kamolami, dechami i butelkami. W ruch poszły też race i petardy, które świszczwały nad naszymi głowami.

— Ukamienować ich jak żydów! — Darli mordy.

— Łłoouuuuuooo, łooooouuuuo! — Wyli kibole —
zaaaajeeebaaać psssyyy, zaaaajeeeeebaaać pssyyy! —
Mieszany tłum skurwiałych małpiszonów z obu drużyn
ruszył biegiem w naszą stronę. Wyglądało to tak, jakby ktoś
wypuścił bandę neandertalów z epoki lodowcowej. Rozdarte
i powykrzywiane mordy, wyciągnięte do przodu łapy,
w których widać było kamienie, deski, race, a nawet kilka
sporych noży.

Chłopaki chwycili mocniej tarcze i pałki, wiedzieli, że jak teraz dadzą się rozbić na mniejsze grupy, to kibole ich zabiją. Jeden drugiemu dodawał odwagi, chociaż ręce i kolana latały jednym ze strachu, drugim z nerwów, a innym z czystej wściekłości. Szczególnie grupa Wróbla wolałaby wpaść teraz pomiędzy pierdolonych ultrasów,

niż stać beczynn timer pod gradem złomu i gruzu spadającego na kaski i ochraniacze.

— Daaaawać, kuurwyty!! — darł się Kowal.

— Dawaaać! — Pastorał machał lolą.

Tłum naparł na tarcze, kordon ponownie się cofnął, szturmówki latały w powietrzu, napierdalając kiboli, gdzie się tylko dało. Kilku osunęło się na ziemię z rozbitymi łbami, ale i u nas dwóm czy trzem odebrano tarcze i kopano. Przed naszymi oczami pojawili się kibole w maskach i bandanach. Między nimi mignęło kilka dziewczyn, które dorównywały wściekłością facetom. Rzuciły w nas tym, co im wpadło w ręce, kopały tarcze i skakały, próbując rozbić kordon. Właśnie jedna z takich furiatek skakała przed Kowalem, próbowała odebrać mu tarczę, pluła na niego i wyzywała go. Chłopak, nie chcąc uderzyć jej szturmówką, przełożył ją do ręki, którą dzierżył tarczę i z całej siły zajebał jej z liścia. Kobitka przeleciała kilka dobrych metrów i padła na murawę. Niestety w tym momencie sam dostał kopa w żebra od jakiegoś chuja w masce z trupa czaszką, któremu dla odmiany Generał przyjebał z kasku w łeb, aż ultrasowi krew zalała koszulkę z napisem Wielki Motor, a komunistyczny orzełek bez korony odbił się na czerwono na durnym łbie. Nowy z Walusiem wysunęli się zanadto do przodu i wywijali młynki szturmówkami, odpychając ultrasów tarczami i siekąc ich, gdzie się dało. Niestety za bardzo wyszli do przodu i po chwili Waluś poczuł kopa w kręgosłup, zachwiał się i o mało nie upadł na ziemię. Nowy odwrócił się i szybkim ruchem, kantem tarczy, uderzył kibola w wysuniętą do ponownego kopnięcia nogę tak mocno, aż tamtemu coś chrupnęło w udzie. Teraz

pociągnął Walusia za kamizelkę i ponownie stanęli w kordonie. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś przeniósł żywcem ze średniowiecza rycerzy w czarnych zbrojach broniących się przed hordą pierdolonych, bezmózgich istot mieszkających w jaskiniach...

— Dooo tyłuuuu! — wydarł się Wróbel.

Chłopaki złapali naszych leżących na ziemi, ponownie się cofnęli, choć miejsca było coraz mniej, a za nami tylko zamknięta brama stadionu. Trzech naszych z butlami gazu wyszło naprzód i rozpylili wszystko, co jeszcze mieli, w stronę kibiców. Widać było, jak się gnojki wiją, ale tym razem nie odstępili. Ponownie ruszyli do przodu...

— Mossbeeergiii! — krzyknął nasz dowodzący, który do końca nie chciał używać strzelb. — Celować w nogi! Beezz rozkazuuu...!

To była nasza ostatnia szansa, by nie dostać wpierdolu od rozwścieczonych kibiców. Pierwsza salwa z mossbergów i kilku kiboli zawyło z bólu. Drużynka szybko przeładowała broń i za chwilę poszła druga salwa i trzecia. Wściekli kibole zaczęli uciekać, ale kilkunastu z nich miało inne zamiary. Tym razem rzucali celnie, kostka brukowa spadła na chłopaków osłaniających mossbergi. Pierwszy raz widzieliśmy, jak od kostki brukowej pęka kask i jeden z naszych kolegów zwałił się na ziemię nieprzytomny. Zalała nas fala wściekłości, gdyby któryś z nas miał broń, na sto procent by jej użył. Za chwilę drugi dostał w ramię tak, że pękł mu obojczyk. Czuliśmy, że już mamy pozamiatane. Nie wbiegniemy w tłum, bo nas otoczą i dojebią, więc staliśmy i kto miał tarczę, próbował wyłapać lecące pociski. Drużynka mossbergów powoli wykańczała gumową

amunicję, a skurwiele znów się przed nami zbierali do ataku. W zasięgu wzroku były kordony opecji stojące przy stacji paliw, ale widać było, że sami mają problemy, bo tam skupiła się większość ultrasów.

— Skurwysyny nas ukamienują! — Krzyczała któraś z naszych dziewczyn.

— Do tyłu — wołał ponownie Wróbel — dooo tyłuuu!

— Zasłaniać ciasno, tarcze! — Wołało kilku.

Częstotliwość latających, niezidentyfikowanych obiektów zwiększyła się, a wraz z nią jeszcze kilku policjantów osunęło się na ziemię. Jednemu koledze połamana od rzuconego kamienia szybka kasku uszkodziła oko. Krew lała się jak z prosiaka, dziewczyny opatrywały go pod bramą, a ktoś inny złapał jego tarczę.

— I chuj, będzie medal — powiedział cicho Prawnik — ale pośmiertnie.

— Ha, ha! — Zaśmiało się kilku koło niego, jak widać nawet w takim momencie humor nas nie opuszczał...

Wszystkim wydawało się, że naprawdę zaraz nam tam dopierdolą. Nikt nie miał pomysłu, co robić dalej. Wróbel także wyczerpał swoje koncepcje, a pomocy znikąd.

Wtedy za naszymi plecami zgrzytnęła zardzewiała brama, to ochrona stadionu przybiegła nam na pomoc. Nie, okazało się, że nie na pomoc. Zaczęli nas wciągać po kolei na stadion. Wróbel ponownie wydał rozkaz:

— Do tyłu, wycofać się na stadion... — Wszyscy powoli cofali się ku bramie, zasłaniając kolegów od lecących pocisków.

Nasza trzydziestoosobowa grupa miała już tam pozostać do późnych godzin popołudniowych. Zamieszki w okolicach

stadionu trwały do wieczora. Ściągnięto w trybie alarmowym wszystkich wolnych policjantów z miasta i okolic.

Za złe decyzje nie odpowiedział żaden oficer dowodzący w czasie zabezpieczania. Kary nagan, zabranie dodatków służbowych i wiele innych nieprzyjemności spotkało za to wielu szeregowych funkcjonariuszy, w tym Wróbla, dzięki któremu uniknięto poważniejszych konsekwencji. Dostał dyscyplinarkę za nieutrzymanie kontaktu z całością kordonu i dowodzącym Wacikiem. Dorzucono jeszcze narażenie życia funkcjonariuszy i próbowano zrzucić winę za niepowodzenie całego zabezpieczenia. Na szczęście wszyscy, którzy byli w grupie dowodzonej wówczas przez niego, zeznali na jego korzyść, pomimo nacisków panów oficerów i BSW nikt się nie wyłamał. Był to rok 2013 lub 2014... być może od uderzenia kostką brukową nie pamiętam dokładnie daty, nazwisk ani szczegółów...

VIII

Jesteśmy tylko ludźmi...

*Wieszak**

Krawężnik wychodził z domu wściekły, ale nie chciał zawieść kolegów, którzy jak on pełnili służbę w te święta. Wsiadł do swego fiata, który ledwo odpalił przy minus jedenastu i ruszył do komisju na ulicy Zimnej...

Wigilia, czas, gdy wszyscy dzielą się opłatkiem z rodziną i bliskimi. Radosne święta, paczki pod choinką, roześmiane dzieci i weseli dorośli z czerwonymi nosami od alkoholu albo zimna, a może od jednego i drugiego...

Tak powinno być, jednak nie wszędzie ludzie potrafili pogodzić się ze sobą, zaś spotkania rodzinne większość traktowała jako okazję do wyciągania brudów i powód do kłótni. Dodatkowo już w ten dzień w wielu domach pito postną wódkę, zagryzając ją chudą kiełbasą.

W ten dzień, zamiast cieszyć się obecnością w domu, z dziećmi bawiącymi się przy choince i kominku, z żoną czule obejmującą męża, miałem napierdalać wraz z kolegą

dwunastogodzinną służbę. Opłatkami przełamaliśmy się przed wyjazdem do jednostki, ucałowałem z rodziną, życząc im spokojnych świąt, a sobie powrotu w zdrowiu ze służby. Dzieci nie rozumiały, dlaczego tatuś w kolejne już święta zapierdala do roboty i dlaczego mama, żegnając ojca, płacze. Kolejna dwunastogodzinna nocna służba i kolejne godziny trwogi i zastanawiania się, czy mąż i ojciec wróci do domu, czy nie. Mimo obietnicy, że jutro spędzimy ten dzień razem, dzieciaki mające zaledwie po sześć i osiem lat wiedziały, że ojciec przyjedzie z rana zjebany jak koń po wyścigu i pierwszy dzień świąt spędzi w barłogu jak Miś Yogi. Kolejne smutne święta bez ojca, który jedzie na świąteczną służbę w imię tego, że jako premię otrzymał dwieście trzydzieści złotych brutto.

Dyżurny zawołał chłopaków, aby podzielić się z nimi opłatkami, wśród nich ja wraz Pchełką, który dziś był do mnie przydzielony. Mówiono, że chłopak przyciąga do siebie nieszczęścia, miało się okazać, że coś w tym było...

Kierownik i zastępca naczelnika nie wyściubili nosa ze swoich pokoików. Wstydzili się pokazać ludziom po przyznaniu takich skurwiałych premii. Kilku chłopaków wkurwionych, że w ogóle nic nie dostali, poszło na LQuatro. Reszta tłumaczyła się w domach przed żonami, że dostali mniejsze premie niż kobiety pracujące w Stonce czy w Ropusze, które otrzymały po pięćset złotych i dodatkowo bony świąteczne na zakupy w swoich sklepach. Co roku komendant wojewódzki, komendanci miejscy i powiatowi obiecywali premie i nagrody dla podwładnych. I każdego roku ruchali ich w dupę, bo kasę jak zawsze dostawali oficerowie siedzący za biurkami, czyli specjaliści

od wszelkich spraw zbędnych i nijakich. Cieszyli się także ich przydupasy, uchole, wszelkiej maści podpierdalacze, córeczki i synkowie tatusiów z naczałstwa, a także wszyscy z nimi spowinowaceni. Cała reszta była od zapierdalania i brudnej roboty, tą resztą byliśmy my. Tu na dole wystarczyło, że ktoś wziął tydzień opieki na dziecko, a mógł się pożegnać ze święteczną premią. Wszelkie zwolnienia lekarskie, nawet te brane w związku z wypadkami w służbie, były niemile widziane. Byłem wkurwiony... Widać taka tradycja w tej firmie...

— Krawężnik, co ty taki smutny — zapytał dyżurny — chyba nie łamiesz się tą jebaną premią? Pierdol to, chodź do nas, przełamiemy się opłatkiem jak pies z psem. — Podzieliliśmy się białą okruszynką i uściskaliśmy jak przystało na kolegów.

Kilkanaście osób dzieliło się opłatkiem i składało sobie życzenia. Wybiła osiemnasta i wszyscy wyszli na plac przed komisariatem do radiowozów. Kilka starych opoli z klatką*, dwie skody i dwie kijanki. Mróz był już spory i sypał drobny śnieg. My z Pchełką mieliśmy mniej szczęścia i trafił nam się rozkurwiony opel. Kłapa bagażnika nie domykała się i była przywiązana sznurkiem do zderzaka, co powodowało w czasie jazdy stukanie i klepanie. Jedna z szyb, ta od prawego, uchylona była na jakiś centymetr lub półtorej i nie można jej było domknąć. Chłopaki wtykali tam jakąś szmatę, by nie pizgało w głowy, zwłaszcza teraz, gdy była zima. Kłapka schowka przykręcona na stałe wkrętami, bo inaczej już dawno by odpadła. Legenda komisariatowa głosiła, że schowek jest na wylot przebity tak, że silnik widać. Nikt jednak tego nie potwierdził, bo nikt nie odkręcał

schowka. Grucha od radia też leżała na podłodze pod nogami prawego, bo wieszaczek był urwany. Kierownica obdarta z okleiny, w niektórych miejscach wystawała metalowa konstrukcja. Pchełka siadł za kierownicą, sprawdził światła, na szczęście działały, ogrzewanie też, za to wycieraczka chodziła tylko jedna, na szczęście ta ze strony kierowcy.

— Idź, powiedz kierownikowi, niech da inny rajdowóz, bo jak zacznie naprawdę sypać, to z jedną wycieraczką ciężko będzie.

Pchełka poszedł, a po chwili wrócił ze spuszczoną głową, kręcąc nią po drodze.

— Powiedział, że jak nie chcemy tego, to będziemy z buta napierdalać całą nockę...

— Chuj, zapisz usterki w zeszycie i jedziemy w sektor...

Od samego zameldowania się u dyżurnego miejskiego zaczęła się prawdziwa noc cudów. Interwencja za interwencją, awanturujący się mężowie, synowie, a nawet napite córeczki bijące mamusie i uciekające do swych kochasiów. Kilka razy woziliśmy nietrzeźwych do izby lordów, jednego na dołek i kilku kolejnych do noclegowni dla bezdomnych. Nie tylko mężczyźni trafili dziś do miejskiego Betlejem. Nasz patrol osobiście zawiózł dwie rozszalałe damy do żłóbka. Ciężka przeprawa ze świętującymi Wigilię Bożego Narodzenia trwała do trzeciej nad ranem, kiedy to ostatni ludzie wrócili z pasterki do domów i to niekoniecznie o własnych siłach.

W eterze powoli zalegała cisza, wcześniej nie było kiedy wziąć przerwy, dlatego Pchełka poprosił o nią teraz. Ruszył z kopyta do leśnej doliny:

— Krawężnik, jedziemy spać? — padło retoryczne pytanie. — Bo zaraz pierdolnę za kierownicą, nie dam rady dłużej.

Faktycznie obaj byliśmy zmachani po dziewięciu godzinach ciągłych interwencji, awantur i szarpania się z pijanymi i roszczeniowymi „klientami”. Kierowca skręcił w boczną uliczkę prowadzącą przez osiedle domków jednorodzinnych z jednej strony, a obok cmentarza z drugiej. Droga prowadziła prosto w ciemny las, akurat zaczął sypać gęsty, mokry śnieg, zasypując nasze ślady. W lesie Pchełka skręcił jeszcze w lewo i stanął pod wysokimi dębami przy pomniku upamiętniającym jakąś bitwę partyzancką. Wyłączył światła i zostawił silnik na chodzie, żeby chociaż godzinę lub dwie, jeśli dyżurny nie wezwie, zdrzemnąć się w ciepłym samochodzie do rana. Owinęliśmy się zimowymi kurtkami, czapki pod głowę i częściowo leżąc, bo przez jebaną kratę nie można było przesunąć siedzeń, zasnęliśmy.

Prawie po godzinie spania wydawało mi się, że coś zastukało o dach, ale silnik chodził dość głośno, dmuchawy grzały na całego i radio grało jakieś kolędy. Wydawało mi się, że cały dzień i całą noc napierdala George Michael ze swoim starym składem Wham i piosenką *Last Christmas*.

— Ty, coś stuknęło w dach — powiedziałem, przerzucając radio na inny kanał.

— Co ty, to pewnie śnieg spierdolił się z gałęzi. — Pchełka obrócił się na drugi bok i nakrył ciaśniej głowę kurtką. — Przecież stoimy pod zajebistym dębem.

— No tak. — Przerzucanie stacji w radiu chuja dało, na wszystkich kanałach leciało to samo. — Tak, pewnie

masz rację. — Na kolejnym kanele leciało: *W ostatnie święta oddałem Ci serce...*

Dałem za wygraną i poszedłem za przykładem kierowcy, nakryłem się z powrotem zimową kurtą...

Piąta trzydzieści zapiszczał budzik w telefonie Pchełki, przeciągnęliśmy się i poprawiliśmy fotele.

— Chociaż te dwie godzinki dali się zdrzemnąć — przeciągał się lewy — w stacji cisza była, więc wszyscy odpoczęli po tej chujowej Wigilii. — Zapalił światła w samochodzie, włączył wycieraczki, z których tylko jedna drgnęła odgarniając zaśnieżoną szybę... W tym momencie Pchełka spojrzał do przodu i zamarł.

Spojrzałem na niego, zrobił się blady jak śnieg, który padał za oknem, oczy wlepił w coś przed nim. Podążyłem za jego wzrokiem:

— Ooooo kurwaaaaaa! — I wyskoczyłem z wozu.

Nad nami wisiał jebany wieszak, a jego nogi zwisały na wysokości, na której zaczynał się dach, a kończyła przednia szyba radiowozu. Obszedłem samochód dookoła:

— Skurwiel musiał iść za nami, jak żeśmy tu wjechali! — krzyczałem.

Ślady radiowozu były zasypane, tylko z tyłu na dachu wciąż jeszcze widniały zarysy śladów gościa, który wspiął się po samochodzie. Przerzucił pas nad gałęzią i chuj się targnął na życie. Wskoczyłem na bagażnik, a później na dach, szarpałem gościa, usiłując go zerwać z paska. Był skostniały i zimny, na tym mrozie szybko zesztyniał. W tym momencie jego twarz znalazła się blisko mojej, spojrzałem na nią, nieruchoma z wybałuszonymi gałami wbitymi

we mnie. Przekrzywiona na lewo głowa i do tego wysunięty
jęzor...

— Błłłłłeee, błłłłłeee. — Puściłem pawia na śnieg,
na dach radiowozu i tuż przy nim...

W tym momencie z drugiej strony na dole usłyszałem to samo, kierowca rzygał razem ze mną. On też wysiadł, spojrzał na mnie i breloka. Myślałem, że wnętrzości wypluję, miałem takie torsje, paw za pawiem, aż sama żółć leciała. Wyglądało na to, że poszło ze mnie wszystko razem z oranżadą z pierwszej komunii. Minęło dobre pięć minut, zanim przestaliśmy z siebie chlustać. Ześlizgnałem się z dachu, trzęsąc się, jakby mnie ktoś złapał za ramiona i telepał jak szmacianą lalkę. Bynajmniej nie było mi zimno... Spojrzałem na kolegę, on też był cały rozdygotany. Za to gość wiszący na swym pasku dyndał teraz w tę i z powrotem. Można powiedzieć, że chyba było mu wesoło, bo zdawało nam się, że się śmieje albo sobie z nas kpi, pokazując język.

— Kurwaaa, Krawężnik, co teraz będzie!? — krzyczał kolega. — Zajebią nas żywcem. Myśmy spali, a ten kutas wlaźł na dach i się powiesił — w słowach Pchełki było zero szacunku dla wisielca — skurwiel jebany, mi tylko dwa lata zostało do pierdolonej emki... Co teraz? Radź coś! Zrób coś! Kurwaaa! — Zaczął biegać wokół Opla...

Spojrzałem jeszcze raz na wieszaka, w radiu znów, kurwa, leciała ta melodia: *Last Christmas I gave you my heart...*

— Zamknij ryj, kurwaaa! — wydarłem się do kumpla, choć miałem na myśli pedalskiego wokalistę, który w kółko napierdalał tę melodię w zjebanym radiu. — Daj pomyśleć — dodałem spokojniej, chwilę dumałem,

trzęsąc się przy tym — dobra, wsiadaj do opla i objeżdż lasek dookoła... Wyłącz to kurewskie radio, bo zaraz sam obok tego kolesia się chuśnę...

Pchełka spojrzał na mnie, jakby zobaczył diabła, wystraszył się nie na żarty:

— No co ty, Krawężnik, poważnie... To już lepiej w łeb...

— Pojechało cię, sam sobie pierdolnij w ten głupi łeb, tak tylko powiedziałem. — Poklepałem go na uspokojenie po plecach. — No, już jedź i wróć tu do mnie, kurwa, żebyś mi nie zaginął...

— Krawężnik, co chcesz zrobić? — jeszcze raz niepewnie na mnie spojrzał.

Ale widać pomyślał, że jak odjedzie, to przecież nie doskoczę do gałęzi, by się na niej szarpnąć — idiota — pomyślałem, dodając głośno:

— Rób, co ci mówię! A nie tu kwitniesz...

Pchełka wskoczył za kierownicę i ruszył powoli drogą przez las, zatoczył koło i ponownie między domkami jednorodziinnymi i cmentarzem przyjechał na miejsce, gdzie wisiał brelok. W tym czasie ja nogami i rękoma nawalałem śniegu na miejsce, gdzie stał radiowóz. Nerwy, pot, złość na tego gościa, który postanowił zjechać nam służbę. Dlaczego kutas się powiesił? — myślałem. — Ostatnie święta, to ci kurwa Majkel zaśpiewał... — Jebane *Last Christmas* — dodałem głośno.

Miejsce wyglądało teraz tak, jakbyśmy biegali bez ładu i składu. Gdy podjechał radiowóz, złapałem gruchę od radia:

— 03 do 15—121, zgłoś natychmiast...

Cisza w eterze:

— Pewnie jeszcze śpi — denerwuje się kierowca.

— 03 do 121, zgłoś! — krzyczę.
— Zgłaszam — słysząc zaspany głos.
— Znaleźliśmy wieszaka w leśnej dolinie
za cmentarzem...
— O kurwaaa, czekajcie tam, już wysyłam kogo trzeba...

Gdy na miejsce przyjechali chłopaki z miejskiej i my, Pchełka płakał jak bóbr, a Krawężnik dygotał jak galareta. Każdy myślał, że to z zimna, a Pchełka:

— Może płacze, bo wrażliwy jest — mówiliśmy między sobą. Ale fakt, po raz kolejny przyciągnął do siebie gówno...

Na miejsce przyjechali prokurator, lekarz i ekipa z technikiem. Krawężnik i Pchełka stawili się u naczelnika, który z rana w pierwszy dzień świąt miał dyżur, długo tam siedzieli. Naczelnik, Pilnik, był jednym z lepszych oficerów, jakich można sobie wymarzyć, za swoimi ludźmi wskoczyłby w ogień, a oni za nim. Tak czy inaczej chłopaki po tym wydarzeniu wylądowali u psychiatry, leczyli się kilka miesięcy. Nikt nie wiedział, co się tak naprawdę wydarzyło. Po komisariacie chodziły różne plotki. W każdym razie nigdy już nie mieli służby razem i nigdy, mając nocną służbę, nie spali w radiowozie, choć często padali na pysk. Dopiero jak obaj poszli na emerytury, któryś się wygadał przy piwie, jak było naprawdę i dlaczego od tamtej pory obaj nienawidzili Wigilii i George'a Michaela. Zrozumieliśmy, dlaczego na nocnych służbach woleli siedzieć za kierownicą, niż spać. Zapewne nikt z nas by po czymś takim nie mógł zasnąć w radiowozie. Pewnie bali się, że historia może się powtórzyć. Nabraliśmy wówczas jeszcze większego szacunku dla Pilnika, który uratował dupy chłopakom...

Chociaż on również od tamtego czasu zintensyfikował nocne kontrole, widać obawiał się tego samego co chłopaki.

IX

Powiadomienie

Milimetr i Szczurek

— Pół dnia wpierdalasz te kanapki, ileś ty ich nabrał? — zapytałem.

— No co się przypierdalasz? Głodny jestem, to jem...

— Taki mały, a żresz, jakbyś tasiemca miał, gdzie ty to mieścisz?

— Milimetr, nie wkurwiał mnie, bo się przez ciebie udławiał i będziesz mnie miał na sumieniu — powiedział, po czym spojrzał z nieukrywanym apetytem na kanapkę, z której zwisał żółty ser i wystawały pocięte w plastry pomidory. — Wspaniała garmażeria — mruczał do siebie pod nosem, pałaszując kanapkę i zapijając ją niegazowaną wodą z niebieskiej plastikowej butelki.

Cały dzień mijał na legitymowaniu i łapaniu sprawców wykroczeń. Ja miałem pięć mandatów, dwa za spożywkę w miejscu publicznym i trzy za zakaz parkowania. Szczurek był bardziej kreatywny i miał wypisanych siedem blankietów, trzy zakazy, jedna spożywka i cztery

za nadmierne używanie słowa „kurwa” przez miejscowych żulików. Zatrzymaliśmy nasz psiowóz pod jednym ze sklepów znanej sieci ZXY, w którym kupiłem zestaw patrolowca. Kierowca miał swoje żarcie, żonka mu zrobiła cały plecak. Bochenek chleba chyba tam był i z pięć litrów wody, bo ciągle coś wpierdalał i ruszał gębą i coraz to nową buteleczkę wody wyciągał. W żarcu nie przeszkadzał mu nawet zapach psiego futra, którym fiat był przesiąknięty. W tym wozie bagażnik przerobiony był na klatkę dla psa policyjnego. Niestety krata nie była zasłaniana i z miejsca, gdzie wcześniej leżał worek pcheł, jebało futrem, niekapanym psem. Widać nasz przewodnik, Tygrysek, nie za bardzo dbał o swojego owczarka, jeśli chodzi o sprawy kosmetyczno-higieniczne. Za to rozpieszczał go różnymi smakołykami, miział, całował i ogólnie obaj lizali się po pyskach. Pies oddałby życie za Tygryską, a ten zrobiłby wszystko dla swego ukochanego sierściucha.

Dojadałem ostatnią parówkę i przegryzałem bułką, gdy odezwało się radio:

— Szszyyy, 04—016 do 03, zgłoś.

— Zgłasza dla 03 — odpowiedział Szczurek, naciskając guzik gruchy, memłał przy tym dalej kanapkę i głośno mlaskał.

— Zanotuj sobie w kajeciku: Gościmierz Mały, ulica Bura dwanaście, mieszkanie numer trzy, pani Barbara Gozdek. Jej mąż Janusz miał wypadek w Irlandii, nie żyje, nie żyje — powtórzył, wciągnął powietrze i kontynuował. — Zginął w wypadku w zakładzie, w którym pracował, przekaż jej, żeby skontaktowała się z pracodawcą męża, niejakim panem Tadeuszem Masłowskim. Potwierdź, że zrozumiałeś, i jedź,

przekaż, co powiedziałem, i poproście, żeby ktoś z rodziny się nią zaopiekował...

— Jak młoda to ja się nią zaopiekuję — zaśmiał się kierowca.

— Szczurek, kurwa, bez takich żartów! — krzyknął dyżurny. — Przestań żreć i jedź, gdzie ci kazałem.

— Jadę, jadę i wcale nie żrę — skłamał i schował kanapkę do worka, wsuwając ją później do plecaka.

— Czekaj, kurwa. — Zatrzymałem go ręką, zupełnie tak, jakby miał gdzieś iść, a nie jechać. Wziąłem gruchę w rękę. — 03 do 04—016, szszyyy.

— Zgłasza, jedziecie już? — odezwał się cieć z dyżurki.

— Ty, a jak to nas wysyłasz, kuźwa, a policyjni psycholodzy gdzie są? — zapytałem. — A jak kobieta sobie coś zrobi albo coś innego robi głupiego? To kto odpowie? — Ten z drugiej strony próbował przerwać mój wywód, ale trzymałem guzik gruchy i kontynuowałem. — A my nie mamy przeszkolenia z psychologii i nikt nie uczył mnie, jak mam powiedzieć komuś, że najbliższa mu osoba nie żyje? Czy ty się z chujem na głowy pozamieniałeś? — zapytałem, choć poczułem, że zdecydowanie mnie poniosło.

Szczurek spojrzał na mnie wielkimi oczami:

— Ty, ty wiesz, że to się nagrywa?

Popatrzyłem na niego i wstrząsnąłem ramionami, puściłem guzik gruchy:

— I chuj, niech wiedzą, co o tym, kurwa, sądzę...

— Szczyyy. — Konferansjer z KPP wykorzystał chwilę przerwy. — Kurwa, Milimetr, nie fizoluj, fizologuj, fizolofuj... — stękał dyżurny — Kurwa! Wszystko się nagrało

i jutro będzie u starego, a teraz zapierdalajcie, gdzie powiedziałem...

— A może sam, cwaniaczku, pojedziesz? Przekażesz pani, że mąż nie żyje, zobaczymy, czy to takie, kurwa, proste — mówiłem szybko podkurwiony sytuacją. — Powiedz, jak mam to zrobić, tak aby było to łagodne i taktowne? Pytam się, gdzie są nasi psycholodzy, którzy się szkolą do tych rzeczy? Przyjechać do komendy i pierdolić głupoty to potrafią, a ja mam za nich odpierdalać ich robotę?

— Dobra, nie denerwuj się, szszyyy, rozumiem, poczekajcie u niej, ile będzie trzeba, bez odbioru — zakończył pojednawczo dyżurny.

— Chuj, ruszaj, ja zanotuję, że nas wysłali, choć nie mamy przeszkolenia, aby powiadamiać ludzi o czyjejś śmierci. Kurwaaa! Czy ja pracuję w jebanym zakładzie pogrzebowym!? — darłem się do kolegi, choć miał mnie w dupie.

Pogłośnił radio i ruszył spod sklepu, wzbijając tumany kurzu i kamyków. Palio zapiszczało i ruszyło, trzęsąc się i zgrzytając.

— Ja przekażę wiadomość. — Lewy kiwał głową. — Robiłem to ze dwa razy...

— Ale ty wiesz, że ty przyjebany jesteś. — Spojrzałem na niego. — Kurwa, przecież ty nie masz za grosz empatii. Ty nieczuły chuj jesteś, nawet kobita, twoja własna prywatna żona, skarży się na ciebie chłopakom...

— A tam, pierdolisz, ha, ha.

Jechaliśmy dobre piętnaście minut przez las, nie śpieszyliśmy się. Dyżurny miał nas już nie wołać, więc nastawialiśmy się na powiadomienie nieznanej nam osoby

o śmierci jej męża. Powoli nerwy ze mnie schodziły, ustępując miejsca jakiemuś wewnętrznemu smutkowi. Myśli kręciły się po głowie, jak przekazać kobiecie, że nie żyje jej najbliższa osoba. Prawdopodobnie osoba starsza, może jeszcze zemdleje albo zawału dostanie, kto wie? Kierowca gwizdał piosenkę pogrzebową *Anielski orszak*. Spojrzałem na niego i pokiwałem głową na znak dezaprobaty. Wtedy ten dureń zaczął śpiewać pod nosem:

— *Anielski orszak niech twą duszę przyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieba...* — Uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

— Zaraz ci piznę w ryj! A wiesz, że kły trzy razy nie rosną?!

— No co, kurwa? Nie wolno? — Ale już się zamknął, nie gwizdał ani nie śpiewał.

Na ulicy Burej pod wskazanym przez durnego numerem stał niewielki żółty blok. Zaparkowaliśmy przy wejściu radiowóz i udaliśmy się do mieszkania kobiety, której mąż zginął za granicą. Pukamy, drzwi zamknięte, ale wychodzi jakaś wścibska sąsiadka po siedemdziesiątce, z okna widziała, jak parkowaliśmy, a teraz stukamy do mieszkania obok.

— Aaaa co tu panowie chcieliście? — pyta ciekawie.

— Aaaa sprawę mamy, babciu — odpowiada kierowca, naśladując kobietę.

— Aaa ni ma tam nikogo, sąsiadka poszła do sklepu godzinę temu. To może mnie powiecie co tam, a ja przekażę? — Natarczywość baby jest irytująca.

— Aaa nie możemy, babciu, tajemnica służbowa — kolega nabija się z babki.

— Aaaa no to rozumiem, no ale może żeśta jej męża zamknęli — baba zaczyna snuć domysły — bo łun to taki łobuz, pirwszy w miasteczku!

— Nikogo żeśmy nie zamknęli ani nie złapali, idzie już pani do siebie, a my poczekamy na pani sąsiadkę. — Delikatnie popchnąłem babkę w stronę jej drzwi.

Zeszliśmy po schodkach i ledwie wyszliśmy na chodnik przed blokiem, jak stanęła przed nami młoda, atrakcyjna brunetka, około dwadzieścia sześć lat, która właśnie miała wchodzić na klatkę. Niosła dwie ciężkie siatki zakupów.

— To może pomożemy pani — ochoczo odezwał się Szczurek — co będzie pani dźwigała te ciężkie torby. — Prawie wyrwał jej z rąk siatki i wszedł ponownie do bloku.

— Panowie policjanci do kogo? — zapytała, wchodząc szybko po schodach, wyjęła klucze i stanęła przed drzwiami numer trzy.

— Ooo kurwa! — wyrwało się kierowcy.

Brunetka spojrzała na niego, zaś lewy odwrócił głowę w moją stronę i zaczął znowu gwizdać *Anielski orszak*, więc kobieta spojrzała na mnie jeszcze bardziej zdumiona. Podrapałem się po głowie, przez zaciśnięte zęby wciągnąłem powietrze. Przez sekundę przeleciało sto myśli, jak tu jej powiedzieć, że mąż nie żyje, w tym momencie usłyszałem:

— Jest pani młoda, atrakcyjna...

Zajebałem mu otwartą ręką w łeb, aż się skulił.

— Aua, za co, kurwa!?

— Za kobyle caco, debilu! — Spojrzałem na kobietę, która obserwowała nas z niedowierzaniem. — Przepraszam za kolegę, czy pani nazywa się Barbara Gozdek?

— Taaak — przeciągnęła — a o co chodzi? — Teraz była wyraźnie zaniepokojona. Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

Po drugiej stronie, pod numerem dwa, dało się słyszeć szybkie małe kroczyki, zaskrzypiała podłoga i uchyliły się drzwi. Stała w nich ponownie wścibska baba i zaglądała na korytarz.

— Schowa się babcia, bo się jeszcze przezięb i trzeba będzie lekarza wzywać — szybko i złośliwie powiedział kierowca.

— Eeee nie, przecie lato jest — odparła rezolutnie babka i dalej stała w drzwiach, przyglądając się nam i młodej kobiecie.

— Wejdzie pani do mieszkania, tam porozmawiamy — powiedziałem do Barbary. — Nie potrzeba nam tu osób postronnych.

Brunetka wpuściła nas do mieszkania, Szczurek postawił siatki z zakupami w kuchni.

— Może będzie lepiej, jak pani usiądzie — zaproponowałem — mam złą wiadomość...

— O Booożeee, coś z mężemmm! — zaczęła krzyczeć. — Co z nim, mówcie, co się stało!?

Kurwa, źle zacząłem — pomyślałem — ale jakbym nie zaczął, to i tak byłoby źle. Zamiast nas powinni jebanego psychologa przysłać. Ale co te ćwoki mające dwadzieścia parę lat wiedziały o prawdziwym życiu? Większość z nich, przeważnie młodziutkie dupencje, zaraz po studiach trafiło na wakaty policyjne dzięki tatusiom, wujkom i kochasiom... Chuj, trzeba jakoś inaczej...

— Proszę się uspokoić, proszę usiąść. — Złapałem ją za ramiona i posadziłem prawie na siłę na krześle w kuchni. Szczurek siadł na drugim krześle, patrząc to na mnie, to na kobietę. Ja usiadłem naprzeciw niej i próbowałem spokojnie mówić:

— Pani Basiu, pani mąż zmarł...

— Ale jak to, jak? — Zaczęła płakać, szybko oddychać i chciała ponownie wstać. — Jak to? Przecież był zdrowy, jak umarł? Co się stało? — Lawina pytań, niedowierzanie, szok i łzy. — Przecież był zdrowy! Jak to? My sześć miesięcy temu ślub wzięliśmy... — Złapała mnie za rękę. — Nich pan mówi prawdę. — Spojrzała na mnie ze łzami.

— Z tego co wiemy, miał wypadek w pracy. Będzie pani musiała skontaktować się z panem Tadeuszem Masłowskim... — nie dokończyłem, bo kobieta odjechała. Zsunęła się nieprzytomna z krzesła wprost w moje ręce. Szczurek podskoczył do pomocy, sprawdziliśmy oddech... Oddychała. — Dawaj, położymy ją w pozycji bocznej bezpiecznej.

Odsunięcie krzeseł i stołu zajęło chwilę, położyliśmy brunetkę na podłodze. Kierowca zadzwonił do dyżurnego, by przysłał karetkę. Oczywiście pajac na dyżurce wyklinał na nas i groził, że zamelduje komendantowi o tym, co żeśmy narobili.

— Powiedz, kutasowi, że ja też zamelduję, gdzie trzeba, że nas wysłał powiadomić o zgonie, a nie psychologa.

Kolega, nie myśląc wiele, przekazał to dyżurnemu i po chwili się rozłączył.

— Nooo, hellooooo, rozwiszczał się do słuchawki, to się rozłączyłem. — Spojrzał na mnie dumny z tego, co zrobił. —

W każdym razie karetka do niej przyjedzie.

Po kilku minutach Szczurek ogarnął kuchnię, nastawił wodę na herbatę. Zajrzał do lodówki, kucając przy tym i mrucząc z zachwytem:

— Wspaaaniałaa garmaaażeriaaaa, yymmm. — Urwał kawał kielbasy i zaczął ją gryźć.

— Kurwa, wstydu nie masz, kobieta leży nietomna, mąż jej nie żyje, a ty wpierdalasz jej żarcie z lodówki. — Nie mogłem się nadziwić gościowi.

— A co się ma zmarnować...

Gdy woda w czajniku się zagotowała, brunetka zaczęła się ruszać. Przyskoczyłem do niej, poklepałem po policzku i pomogłem wstać.

— Zrobić pani herbaty? — krzyknął Szczurek.

— Tak, tak, poproszę. — W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. — Proszę.

Do mieszkania weszło dwóch sanitariuszy i lekarka. Zbadali Barbarę, ale nie zgodziła się pojechać z nimi do szpitala na obserwację. Próbowaliśmy ją namówić, by pojechała, jednak stanowczo odmówiła. Nie za bardzo pasowało mi siedzieć i jej pilnować, sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Mój kolega coraz śmielej sobie poczynił w mieszkaniu, zaglądał tu i ówdzie, a właścicielka nie miała głowy do tego, by zwrócić mu uwagę. Gdy pogotowie odjechało, usiadła z powrotem na krześle i zaczęła płakać. Tego było dla mnie za dużo, objąłem ją, wtuliła się we mnie z całej siły, wymawiając imię męża. Było mi jej żal, łzy zakręciły mi się w oczach:

— Wszystko będzie dobrze, musi tylko minąć trochę czasu...

— Jakiego, kuurwaaa, czasu. — Płakała. — Sześć miesięcy po ślubie, a mąż zginął, kuuurwaaa, rozumie pan... Pojechał zarobić na nowe mieszkanie...

— Znajdzie sobie pani następnego, jest pani atrakcyjna i w ogóle... — Szczurek zaczął znowu pierdolić.

— Bo ci znowu jebnę! — Spojrzałem na niego groźnie. — Niech pani zadzwoni do kogoś z rodziny, trzeba, żeby ktoś się panią zajął, my nie możemy tu siedzieć, mamy służbę. — Może gdyby nie mój kolega debil, to zostałbym z nią do końca służby i pilnował, żeby nic sobie nie zrobiła. Niestety jej stan wskazywał, że może faktycznie coś sobie zrobić, ewidentnie rozleciała się emocjonalnie. Na zmianę płakała, to wspomniała ze śmiechem męża, to znów się wtulała we mnie i odpychała, narzekając przy tym, że nigdy nie mogła liczyć na policję...

— Nigdy żeście mi nie pomogli, jak było trzeba, a teraz przyjeżdżacie i.. i.. i.. — przerywała, łkając przy tym i bijąc mnie pięściami w tors. Złapałem ją za ręce. — I, kurwa, mówicie, że mój mąż nie żyje... — Rozpłakała się na dobre i ponownie wtuliła w moją kamizelkę taktyczną...

Łzy po raz kolejny napłynęły mi do oczu, chciałem pokazać, jaki jestem twardy, że jestem twardym psem, który nie płacze. Ale nieszczęście tej kobiety, jej płacz i rozpacz wpłynęły także na mnie, kilka łez kapnęło na jej włosy... My też jesteśmy przecież ludźmi i mamy uczucia... Wtedy spojrzałem na Szczurka, patrzył na mnie, jedząc kolejny kawał kiełbasy wyjęty z lodówki i pijąc herbatę. Widząc mój wzrok, mrugnął do mnie dwuznacznie, puścił kiełbasę, której spory kawał wystawał mu teraz z ust. Dwom rękami nakreślił w powietrzu bardzo aluzyjny gest odnoszący się

do gospodyni i oznaczający, że ma zajeść zgrabną sylwetkę... No i jak z takim kimś — myślałem — jechać do kogokolwiek, aby oznajmić o śmierci bliskiej osoby. Wiem, że każdy z nas jest tylko człowiekiem, ale czy mój kolega dławiący się teraz kawałkiem kielbasy, który utknął mu w gardle, gdy zaczął się do mnie sprośnie śmiać, też nim jest? Odsunąłem delikatnie kobietę:

— Proszę zadzwonić do kogoś z rodziny — powtórzyłem drugi raz. — A ty kończ wpieprzać cudze jedzenie i zachowuj się, jak przystało do sytuacji...

— Trzeba kuć żelazo póki gorące, a tu gorąca wdówka...

— Szczurek, ciebie trzeba na leczenie wysłać. — Postukałem palcem w jego głowę, pokazując, że gość ma pusto we łbie. — Żoną się, kurwa, zajmij...

Obejrzałem się za Barbarą, czy nie słyszała tego, co mówił kierowca. Kobieta stała jednak przy oknie, rozmawiając z kimś przez telefon:

— ...to będziesz u mnie... za ile? Dobrze, czekam. — Spojrzała w naszą stronę. — Moja mama będzie za pięć minut.

Faktycznie po kilku minutach matka brunetki pojawiła się w drzwiach mieszkania. Po krótkim wyjaśnieniu i ponownym wysłuchaniu lamentów, płaczu, wyzwisk i wyrzutów różnego rodzaju ze strony obu kobiet postanowiłem, że na nas czas:

— Przepraszam, ale musimy już jechać, obowiązki wzywają, kolega właśnie odebrał kolejne wezwanie — skłamałem.

Brunetka podeszła do mnie:

— Dziękuję, że to pan do mnie przyjechał. Nie wiem, jak bym zniosła waszą wizytę, gdyby przyjechało dwóch takich — mówiąc to, wskazała na mojego kierowcę.

Szczurek niezrażony przytykiem wychodził, przeżuając ostatni kawałek kiełbasy. Podał rękę kobiecie i od razu wyjął z kieszeni wizytówkę:

— Jeśli poczuje się pani samotna albo coś... — spojrzał na nią — albo trzeba będzie wspomóc, pomóc, coś przetkać, przeczyścić...

Złapałem go za kołnierz i pociągnąłem do tyłu.

— Kurwa, Milimetr, nie wkurwiał mnie. — Stał naprzeciw, spoglądając na mnie groźnie.

Spojrzałem w dół, Szczurek jest niższy o głowę ode mnie i połowę mniejszy, pochyliłem głowę tak, że prawie dotykała jego czoła.

— Nie no, Milimetr, ja no, eee — zaczął się jąkać — no, nic, no... — Obrócił się i wyszedł z klatki.

Usłyszałem otwieranie drzwi radiowozu, później ich zatrzaśnięcie, a na korytarzu ponownie pojawiła się wścibska baba spod numeru dwa. Za mną stanęła Barbara, podała wizytówkę Szczurka:

— Proszę oddać koledze i jeszcze raz dziękuję, do widzenia. — Zamknęła drzwi mieszkania.

— Do widzenia — rzekłem smutno, myśląc o tym, jak wielu idiotów pracuje w tej firmie.

Nie odezwałem się do kumpla do końca służby, on też nie był skory do rozmowy. Gdy przebierałem się w szatni, z kieszeni wypadła mi wizytówka Szczurka. Ta sama, którą dał kobiecie, wychodząc z jej mieszkania,

a którą ona mi później oddała. Zerknąłem na nią i pokręciłem głową ze zdumienia:

Mgr st. post. Marcin Szczurek

Pocieszam samotne kobiety, wdowy, żony, matki, kochanki etc.

Przeczyszczam dziury, rury i inne otwory.

Zawsze do usług, o każdej porze dnia i nocy

— także w czasie służby

nr tel (0)157-987-102

adres e-mail: szczurek@czyszczerury.eu

X

Most na Wiśle...

Aspirant i Kulas

— Zaraz ci kwita wyjebię! — krzyczał Kulas przez okienko radiowozu.

— Panie władzo, za co? — Młody pijaczek stojący codziennie pod sklepem na Łopocce, prawie płakał. — Panie, toć szkoda wylać...

— No to chuj, nie wylejesz, to kwita, jak obiecałem. — Sięgnął do tyłu i z torby leżącej na siedzeniu drugiej klasy wyjął bloczek mandatowy.

— No już wylewam. — Chłopakowi łzy ciekły po policzkach, jak wylewał prawie całego browara.

Trząśł się przy tym, jakby stał na mrozie, a przecież na plusie było szesnaście stopni, chociaż dopiero była godzina dziewiąta rano. Chłopaki, co stali obok pijaczka, śmiali się z niego, a i my mieliśmy niezły ubaw. Skurwiel w domu matkę bił i ostatni grosz z renty wyciągał na chłanie, a do roboty iść nie chciał. Codziennie przesiadywał pod sklepem i dulał piwo albo wino, czasami

łapaliśmy go też z jagodzianką. Jak pochłał, to w domu robił starej kobiecie piekło na ziemi, ta zaś tak go kochała, że nie chciała złożyć zawiadomienia o znęcaniu. Czasem sąsiedzi dzwonili, że tłucze matkę albo że wygania ją spać do chlewu. Wtedy przyjeżdżał patrol i spuszczał wpierdol gnojkwowi, a później wieźli go na dołek. Jednak sytuacja powtarzała się kilka razy w miesiącu, chyba że zjeb trafiał za niezapłacone mandaty do aresztu. Matka miała chwilę spokoju, jednak tęskniła za nim bardzo. Dziwna ta matczyna miłość... Mógł ją zabić, a i tak nie powiedziałaaby na niego złego słowa, dosłownie jak w filmie *Ballada o Januszu*. Nie mogliśmy tego pojąć, jak to tak może być?

— No i to mi się podoba, jeszcze raz cię dzisiaj złapię, Marecki, z piwem, winem czy czymkolwiek innym, to jeszcze pałę na dupę dostaniesz. — Pokiwał mu palcem kierowca. — Matkę szanuj, bo jak zemrze, to zdechniesz z głodu...

— Szszyyy, 22—019 do 03, zgłoś.

— Zgłaszam — wziąłem gruchę — do 03.

— Włącz górę i zapierdalaj, szszyyy... most na Wiśle, szszyyy. — Ciągłe coś przerywało, ale dało się zrozumieć, co gada gość z drugiej strony. — Szszyy, ludzie dzwonią, że skoczka mamy, szszyyy, samobójcę... szszyyy, zapierdalaj, bo będziemy mieli kolejnego szuwarka* w tym tygodniu... Szszyy.

— Zrozumiał, jedziemy. — Kulas włączył bulaje i ruszył z kopyta.

Ford Focus zakręcił bączka w miejscu, a piasek spod kół poleciał na ryje menelków wioskowych. Zaśmialiśmy się

na ich widok: plujących piachem i kamykami. Jeszcze nie zdążyliśmy ruszyć, jak usłyszeliśmy:

— Błu błuuu błuu bleeu. — I nasz kogut zdechł...

Kierowca zatrzymał rajdowóz i wysiadł...

— Ha, ha, ha. — Teraz menele lali z nas na całego. — Aleśta się chłopoki popisały, ha, ha. — Ryli równo.

Kulas postukał w bulaje pięścią:

— Błu bleeueu. — Usłyszeliśmy cienki pisk, jakby ktoś dorzynał pisklaka.

— Łalahahah łahaha. — Żuliki kładli się na ziemi ze śmiechu.

Kierowca zajebał z całej siły w koguty, dźwięku nie było, ale zaczęły błyskać na niebiesko, tyle naszego. Wsiadł z powrotem za kierownicę czerwony ze wściekłości i wstydu. Ruszył tym razem spokojniej, a za nami było słychać rzenie żuli.

— Kurwa, kurwa, kurwa! — Lewy zaczął napierdalać pięścią w swoje drzwi.

— Co jest, Kulas?

— Kurwa — powtórzył jak mantrę — teraz szyba nie chce się zamknąć, pewnie znowu elektryka siada w tym pierdolonym gracie...

Do mostu mieliśmy jakieś dziesięć do trzynastu kilometrów. Na drodze ruchu za bardzo nie było, ale bez sygnałów dźwiękowych, kierujący niezbyt chcieli zjeżdżać nam z drogi. Kulas wcisnął klakson:

— Kurwa! — krzyknęliśmy razem i spojrzeliśmy na siebie, klakson też nie działał. Jak się później okazało, już dawno ktoś go wymontował...

Pomimo to pędziliśmy na złamanie karku, dobre dziewięćdziesiąt na godzinę, pewnie rowerem dojechałbym szybciej, ale cóż, trzeba było z fasonem i w radiowozie jechać ratować człowieka. Przed mostem było małe miasteczko, gdzie w komisariacie władał przyjebany komendant, więc może i lepiej, że przelecieliśmy przez nie bez dźwięków, można powiedzieć bezszelestnie. A bo to wiadomo, co idiocie do łba strzeli, jak przez jego teren przejedzie obcy radiowóz i to na bulajach?

Dość często samobójcy wybierali ten most, który był pięknie położony w malowniczej okolicy. Stojąc na jego środku, widać na prawym brzegu rzeki wyniosłe wysokie wapienne skały. Rozciągała się stamtąd wspaniała panorama na szeroko rozlaną Wisłę. Do pobliskiego miasteczka wjeżdżało się po moście o długości prawie sześciuset metrów. Na lewym brzegu rzeki, gdzie zaczynało się już inne województwo, znajdowały się starorzecza i łąki. O tym moście ludzie powiadali, że jest „bramą Lubelszczyzny”, a inni że jest bramą do piekła dla samobójców. Ktoś, kto chciał odebrać sobie życie, przyjeżdżał lub przychodził tutaj, aby przed śmiercią mógł podziwiać piękne widoki. Zdarzały się też przypadki takie jak ostatnio podczas remontu mostu. Brat wioził brata na leczenie psychiatryczne do Sandomierza lub w okolice. Zatrzymali się przed światłami postawionymi przed remontowanym odcinkiem mostu. Pasażer wysiadł, powiedział bratu, że chce zapalić papierosa. Poszedł w głąb mostu i nim brat zauważył, nim zdążył wybiec z samochodu, ten przelazł przez barierkę i skoczył. Gdy brat dobiegł do barierki, w miejscu, w którym idiota skoczył, usłyszał z dołu krzyki. Dureń akurat skoczył

w miejscu, w którym z wody wystawała wysepka, a na niej rośło drzewo. Facet tak skoczył, że zawisł na gałęziach drzewa kilka metrów nad piaszczystą łachą wysepki. Wezwano na pomoc patrol z innego powiatu, który dysponował motorówką, niestety u nas takich rarytasów nie było. Ten patrol zdjął podrapanego przez gałęzie skoczka... Tym razem wszystko dobrze się skończyło, ale wielu śmiałków nie miało tyle szczęścia.

Już z daleka zauważyliśmy, że na moście samochody zwalniają, a niektóre stają i wysiadają z nich kierowcy. Po każdej stronie mostu co dziesięć metrów w stronę rzeki wystawały przęsła, każde długie na kilka metrów. Na środku na jednym z nich siedział na krawędzi jakiś człowiek, nogi mu zwisały w stronę Wisły, a tułowiem kiwał się do przodu i do tyłu.

— Dawaj, Kulas — powiedziałem, jakbym chciał przyspieszyć jazdę i tak już rozpadającym się wozem.

Może dzięki temu, że wysiadły nam sygnały dźwiękowe i że był dzień, skoczek nie zauważył, jak podjechaliśmy pod barierki mostu tuż za nim. Nim Kulas zatrzymał samochód, wyskoczyłem z niego, przeskakując barierkę i wskakując na wysięgnik.

— O kurwa. — Popatrzyłem w dół, zakręciło mi się w baniaku, trochę metrów było, może trzydzieści, może mniej, a może więcej. Ale nie cofnąłem się, wlałem szybko na wysięgnik i nim gość zdążył się obejrzeć, trzymałem go za bluzę. Mocno pociągnąłem do tyłu, przewrócił się na plecy. Wtedy zajebałem mu parę siarczystych liści, żeby otrzeźwiał. Próbował się wyrwać, znów go szarpnąłem i po raz kolejny posypało się parę liści:

— Ja ci zaraz skoczę, kurwa! — syknąłem do niego. — Nie ma chuja, nie na mojej warcie!

Teraz dwoma rękami chwyciłem gościa i pociągnąłem do góry, by wstał, gdy tylko się poderwał, dostał jeszcze jednego liścia:

— Jak, kurwa, spadnę przez ciebie lub razem z tobą, to autentycznie cię zajebię, a jak nie ja, to moja żona, bądź tego pewny — dodałem, patrząc mu prosto w oczy.

— Już nie, już nie — dyszał ciężko — już nie chcę skakać. Przywrócił mi pan wiarę w ludzi, w policję, panie, dziękuję panu — dyszał jeszcze i ciężko oddychał. — Puści mnie już pan władza, puści? Ja tak przez kobietę... Nic już nie zrobię, przysięgam.

— Nie ma chuja, złazisz ze mną, a później do radiowozu, ja cię puszcze, a ty, kurwa, chlupniesz do Wisły, a takiego chuja. — Szarpnąłem go znowu i mocniej zacisnąłem rękę na jego przedramieniu i na bluzie.

Wytargałem go z wystającego nad Wisłę przęsła i rzuciłem wprost w ramiona Kulasa. Ten złapał go prawie w locie, wykręcił łapki i założył bransoletki:

— To żebyś nie próbował ponownie targnąć się na swoje życie i nasze też. — Po czym wrzucił go jak lalkę do radiowozu.

Stojący ludzie, którzy wysiedli z aut, by zobaczyć całą akcję, zaczęli bić brawo:

— Brawo, policja...

— Tak trzymać...

— Takich policjantów nam trzeba... — wołali, a niektórzy robili przy tym zdjęcia. Pokazywali kciuk do góry i szczyrzyli do nas zębki w najpiękniejszych uśmiechach.

Fakt faktem, że już dawno nie czułem się tak doceniony w tej robocie, byliśmy z siebie dumni. Kolega podszedł do mnie i klepnął mnie w ramię. Spojrzał na mnie wielkimi oczkami jak kot na kiełbasę, zupełnie jakby zobaczył bohatera z kreskówki...

— Aspirant, ty to jednak przechuj jesteś! — Kulas patrzył na mnie z podziwem. — A gdybyś tak z nim razem spadł? Następnym razem to trzeba negocjować...

— Negocjator się znalazł, czasu nie było, jakby nas zobaczył, to fiknąłby do rzeki ino raz. I prosiłbyś syrenkę z Warszawki, żeby pomogła ci go znaleźć — dodałem, śmiejąc się i klepiąc kolegę po ramieniu.

Dobry z niego chłop, bał się, ale łeb miał.

Po tym wydarzeniu Kulas i Aspirant napisali szczegółową notatkę, która zaginęła. Klienta odwieźli na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Przez około miesiąc była cisza, dopiero ktoś wysłał zdjęcia do komendy wojewódzkiej, zrobił się szum, pytano się o chłopaków. Komendant powiatowy na polecenie komendanta wojewódzkiego przyznał policjantom nagrody w wysokości tysiąca złotych. Nie lubił tych policjantów, oj nie lubił. Zapamiętał to na długo, przez kolejne trzy lata żaden z nich nie otrzymał premii świątecznej, uznaniowej ani za wyniki w służbie.

Chłopakom jednak sprawiło satysfakcję, że uratowali czyjeś życie, choć na siłę, i że dziękowali im ludzie, którzy dawali im często odczuć, że wiedzą, iż na nich mogą polegać. Pytani o nagrodę pieniężną uśmiechali się wstydliwie i zawsze podkreślali, że nie to jest, było i będzie

w ich służbie najważniejsze. Bo tak naprawdę ważne dla nich zawsze jest to, aby pomagać ludziom oraz przeciwdziałać przestępstwom i wykroczeniom. Pieniądze w tym przypadku były dodatkową bonifikatą.

XI

O świcie

Waluś i Aspirant

— Dawaj, do kurwy nędzy. — Rozłączyłem telefon i czekałem, aż Aspirant wyjdzie z domu.

Jeszcze szarówka, strasznie nie lubię tej pory dnia. Jedziesz samochodem i wszystko się rozmywa, praktycznie nie widać pieszych w ciemnych ubraniach. Spojrzałem na zegarek, piąta dwadzieścia cztery, naciskam klakson mojej audiki:

— No kurwa, ile można czekać — mówię do siebie.

W końcu wychodzi, ubrany w mundur jak ja, czarnuch plus kamizelka taktyczna. Pagony kutas zapiął na kamizelce, tak żeby każdy widział, że szaszłyk — he, he — śmieję się w duchu. Spoglądam na niego, no gość robi wrażenie, musiał kiedyś coś ćwiczyć, może kulturystykę? Eeee, chyba nie — kombinuję w głowie — coś kiedyś o akrobatyce mówił. Ruchy ma kocie, bary rozrośnięte, gdyby nie ten brzuch, co mu teraz odstaje, wyglądałby dwa razy bardziej imponująco. Ale kamizelka ściska brzuch, a czarny kolor

wyszczupła, nie no jest efekt. Długie buty taktyki militarne, które kupił za prywatną kasę i których nie zdejmuję nawet latem, błyszczą się z daleka jak staw sołtysa latem, dodają gościowi plus dziesięć do mocy i szybkości. Kabura udowa, też nie byle jaka, chłopaki z Gromu i Formozy mają podobne, a może i identyczne. Mrużę oczy — no, kurwa, co najmniej plus jedenaście na dziesięć możliwych do szpanu, lansu, prezentacji i efektu wow! — mruczę z podziwem. Tak czy inaczej ten gość to gadżeciarz, jakich mało. Sporo rzeczy kupuje za własną kasę, by usprawnić swoją służbę i bezpieczeństwo osobiste i kolegów, którzy z nim pracują...

— Bóg cię opuścił, kurwa? — zapytał, wskakując do mojego wozu. — Wiesz, jak mówią na kierowców audic?

— Może, kurwa, dzień dobry tak byś powiedział do kolegi, ale widzę zero odzewu. No, kurwa, jak mówią? — pytam, bo ten, jak się zatnie, to chuj, nie odezwie się do końca dnia.

— Że mają cztery zera z przodu, na wozie i piąte zero za kierownicą siedzi, kurwa! Ha, ha...

— Ty, a o co ty do mnie pijesz? Jak się nie podoba, to wypierdalaj z wozu!

— Kurwa, Waluś, daj chwilę, żebym wciągnął gacie na kutasa, a nie trąbisz mi pod bramą, budzisz dzieciaki i żonę straszysz. — Spojrzał na mnie. — Żeś mnie tak wystraszył, że ledwie wacka zdążyłem wyjąć. Jak kurwa zostanę ojcem po raz kolejny, to ty będziesz chrzestnym, boś się przyczynił do tego.

— A czemu nie, wszystkie dzieci nasze są, ha, ha. — I ruszyłem z kopyta na krajową dziewiętnastkę.

Trzeba przyznać, że gość lubił dzieciaki. Doczekał się czwórki pociech, a bycie u niego kumem przy piątym dziecku... dlaczego by nie — roześmiałem się w duchu. Przed nami trzydzieści kilosów do komendy. O szóstej zaczynaliśmy służbę, nie mogliśmy się spóźnić, bo komediant by nas zjadł. Z piskiem opon wyjechałem na krajówkę i gaz do dechy, przeskoczyliśmy tak parę dobrych kilometrów. Gdy w którejś z kolei wiosce natknęliśmy się na kilka tirów jadących przed nami, a z naprzeciwka ciągle jechały samochody na Lublin, nie było jak przyspieszyć ani wyprzedzić pierdolonych zawalidróg. Było coraz widniej, ale to nie ułatwiało wcale manewrowania, tyle tylko, że z daleka było widać, czy ktoś idzie poboczem. Nagle coś z dużą prędkością śmignęło po naszej lewej stronie, wyprzedzając nas. W ostatnim momencie przyhamowałem:

— Jakiś idiota czy co — Aspirant skomentował wyczyn nieznanego kierowcy.

Widać było, że facet bardzo się śpieszy w samochodzie marki „Brot Mit Wurst”*. Aspirant miał na to autko jeszcze inną nazwę:

— Bandit Motor Wagen, zaraz chyba mu machnę szmatą* za takie wyprzedzanie. Gość nic nie patrzy, a w środku siedzą dzieci. — Kolega wkurwił się nie na żarty.

Faktycznie patrzę, a tam na tylnych siedzeniach harcuje dwójka dzieciaków. Skaczą, machają do nas i pokazują języki.

— Noż kurwa, nawet nie są pozapinane. — Teraz i ja się wkurwiłem. — Zatrzymamy chujca...

Wcisnąłem już kierunkowskaz, kiedy ten w beemie przyspieszył i wyjechał na środek drogi. To samo w tym czasie zrobił gość w ciężarówce jadący przed nim. Osobówka nagle straciła przyczepność, wyglądało, jakby odbiła się od lewego tylnego koła tira. Ten ostatni pojechał przed siebie, ledwo wyprzedzając kolumnę takich samych pojazdów. Zaś beemka przechyliła się w lewo, później opadła na cztery koła i z pełną prędkością skręciła w przydrożne drzewo. Wcisnąłem z całej siły hamulce, na szczęście za nami nikogo nie było. Osobówka z dziećmi przeskoczyła rów melioracyjny i wyglądało, że z całej siły zajebie w olbrzymie drzewo:

— Już po nich! — krzyknąłem. Ułamki sekund, a świat jakby zwolnił.

Samochód jednak w powietrzu jakimś cudem pochylił się na lewo, chyba coś wyrzuciło go w tamtą stronę, może jakiś kamień znajdujący się przy rowie. To spowodowało, że beemka zajebała prawym rogiem o pień drzewa, którego drzazgi posypały się na wszystkie strony razem ze szkłem reflektora, kawałkami plastiku i metalu z karoserii. Pod wpływem uderzenia samochód przekoziółkował w powietrzu wokół własnej osi. Pokazując ku górze koła, dach i znów koła. W dodatku siła uderzenia spowodowała kolejny obrót osobówki. Nie dość, że wirowała wokół swej osi, to jeszcze obróciło ją przodem w naszą stronę. Beemka, spadając w pole kilka metrów od drzewa, opadła z całej siły na dach, bujnęła się i ostatecznie spadła na koła. Widok samochodu był makabryczny, porozbijany, pognieciony, kawałki szkła i części samochodu leżały w promieniu wielu metrów. W dodatku spod maski zaczął wydostawać się dym.

Zjechałem do brzegu jezdni, na pobocze drogi i zanim się zatrzymałem, jeszcze w czasie jazdy, Aspirant wybiegł z mojej audicy i ruszył na pomoc ludziom w rozbitym wozie. Włączyłem światła awaryjne, z bagażnika wyjąłem gaśnicę i trójkąt ostrzegawczy. Szybko ustawiłem go jakieś czterdzieści metrów za naszym samochodem i ruszyłem biegiem za kolegą.

Aspirant wyciągnął już jedno z dzieci przez rozbite okno, położył je w polu. Podkładając pod głowę kamizelkę taktyczną i okrywając bluzą munduru, z którego zwisały zerwane pagony, które wcześniej tak skrupulatnie zapiał, by było widać stopień policyjny. Gdy dobiegałem do samochodu, on już pakował się przez tylne okienko do jego wnętrza. Przez to samo, przez które wyciągnął pierwsze dziecko, bo tam między siedzeniami zakrwawione leżało drugie maleństwo. Chłop nie zważał, że już nie tylko dym wydobywa się spod maski, ale i płomienie zaczęły lizać pokrywę silnika. W wozie pozostał też kierowca, zapewne ich ojciec, który tak się spieszył, że spowodował wypadek. Pobieglem w jego kierunku, rzucając po drodze gaśnicę przed beemę, szarpnąłem drzwi, ni chuja nie ruszyły. Zajebełem w nie kilka razy ciężkim taktycznym butem i ponownie ręka do klamki, odskoczyły. Gość nietomy zwisa na pasie, próba odpięcia nie przynosi rezultatu, sięgam do kieszonki w swojej kamizelce, w której zawsze mam szwajcarski scyzoryk. Mocne cięcie i po pasach, łapię gościa pod pachy, plecami kładę go na sobie i wyciągam z rozbitego wraka. Kładę obok pierwszego dziecka, patrzę za kolegą. Woła mnie, podbiegam i pomagam wyciągnąć przez okienko drugiego dzieciaka, którego kładziemy obok pozostałej

dwójki. Teraz biegniemy do przodu wraku, działamy, jakbyśmy byli jednym organizmem, koledzy od sześciu lat, we wspólnych patrolach od co najmniej czterech. Możemy na sobie polegać, wiemy, co robić:

— Na trzy! — krzyknął do mnie kolega, kiwnąłem głową i podniosłem gaśnicę.

— Raz, dwa, trzy. — I podniósł do góry maskę, ogień buchnął z całą siłą w naszą stronę. Natychmiast zacząłem gaśnicą psikać po silniku i akumulatorze, przewodach i po czym się dało pod maską. Kumpel pobiegł do bagażnika beemy, później zajrzał do środka samochodu, coś stamtąd wyjął i w niecałą minutę był obok mnie z drugą gaśnicą. Udało się zdusić płomienie, zużyliśmy obie butle. Błędem było podnosić maskę od razu do góry ale kto o tym myśli ratując ludzkie życie, tym razem się udało i ogień zgasł. Na wszelki wypadek jednak ponownie zatrzasnęliśmy maskę. Teraz we dwóch przenieśliśmy też rannych dalej od samochodu. Teren zabezpieczony, raczej nie grozi nam pożar wraku, sprawdzamy osoby. Ojciec oddycha, choć nieprzytomny, jedno z dzieci, to drugie wyniesione przez Aspiranta, płacze:

— Będzie dobrze — mówię i podkładam swoją kamizelkę pod głowę dziewczynce. Mówi, że ma na imię Agatka i bołą ją plecy i lewa ręka. Sprawdzam, ręka złamana, a pleców wolę nie ruszać, zdejmuję swoją bluzę i przykrywam małą.

Pierwsze dziecko to chłopczyk, lat około pięć, może sześć, oczy szeroko otwarte, usta uchylone i patrzy nieruchomo w niebo. Rzucamy się dziecku na ratunek:

— Waluś, dzwoń po pogotowie i gdzie tam trzeba, ja się nim zajmę — powiedział Aspirant.

Patrzę na niego i widzę, że łzy cieką mu po policach, dotyka dzieciaka, sprawdza, czy kości całe i zabiera się do resuscytacji. Zrzuca z chłopca swą czarną bluzę, którą go okrył i naciska małą pierś swą dużą i silną dłonią, trzydzieści razy, a później odchyła małemu główkę i robi sztuczne oddychanie, dwa wdechy i ponownie uciska klatkę piersiową...

Patrząc na to, trzęsę się cały, robi mi się zimno, powoli schodzi ze mnie adrenalina. Nawet gdy mówię przez telefon, głos mi drży i usta się trzęsą, próbuję nad tym zapanować i powoli mi się to udaje. Dyżurny w Kwaśniku powiadomiony, pogotowie i straż pożarna, za chwilę tu będą. Wiedzą, który kilometr drogi, ile osób brało udział w wypadku i że dwoje z nich to dzieci... Teraz pozostaje czekać...

Widzę, że Aspirant opada z sił, czuję ponowny napływ adrenaliny, klękam obok niego i na zmianę reanimujemy malucha. Ten dalej patrzy nieruchomo w niebo... Mój kolega już teraz nie ukrywa łez, płacze, klnie na całego i prosi Boga, by pomógł temu dzieciakowi.

Na miejsce pierwsi przyjeżdżają strażacy, później dwie karetki pogotowia, ratownicy od razu zabierają się za reanimację chłopczyka i ojca dzieci. Mój kolega kryje twarz w dłoniach, na miejsce przyjeżdżają chłopaki z ruchu drogowego. Nasi znajomi widzą, jak Aspirant przeżywa reanimację dziecka, a wiadomości nie są dobre, lekarz decyduje o natychmiastowym wyjeździe w kierunku szpitala na OIOM. Biegną z noszami do karetki, na pełnej kurwie lecą w kierunku Lublina. Patrzymy na kolegę, niektórzy odwracają wzrok ze wstydem. Ale nie wstydzą się Aspiranta,

tylko tego, że oni nic nie czują, są zakłopotani, ja też... On klęczał w miejscu, gdzie jeszcze niedawno reanimował chłopczyka, i płakał...

— Co mu jest? — pyta jeden ze strażaków. — To był ktoś bliski?

— Widzisz — mówię powoli ze smutkiem w głosie i pewną zadumą — my też jesteśmy tylko ludźmi. W tej robocie albo przyzwyczajasz się do tego, co robisz, do śmierci i ludzkich tragedii, albo stajesz się obojętny na ludzkie nieszczęście, albo pękasz. My — wskazałem ręką na siebie i kolegów z ruchu — jesteśmy nieczułymi skurwysynami, a on — spojrzałem na Aspiranta z pewnym podziwem i wzruszeniem — a on właśnie pękł...

XII

Trudniejsze słowa, gwara/slang policjantów — wg. kolejności stron.

- * badacze pisma — przełożeni do spraw postępowań dyscyplinarnych, BSW (Biuro Spraw Wewnętrznych), rzecznicy dyscyplinarni, zazwyczaj ludzie, którzy nigdy nie pracowali na ulicy
- * firma — policja jako całość, „Pracuję w firmie”, czyli w policji
- * bulaje, koguty, bomby — sygnały świetlne i dźwiękowe w radiowozie
- * terminal mobilny — w radiowozach instalowane były i są terminale przewoźne (Mobilne Terminale Przewoźne — MTP); w 2007 roku miało ich być zainstalowanych 2200 sztuk, aby usprawnić pracę funkcjonariuszy; terminal to komputer wyposażony w przeglądarkę www i korzystający z usług operatora GSM; za ich pomocą funkcjonariusze pełniący służbę mogą (teoretycznie) szybko i bezpośrednio uzyskać dostęp do systemów teleinformatycznych policji, sprawdzić daną osobę po PESEL-u
- * komedia główna — KGP, Komenda Główna Policji
- * prawy — policjant siedzący po prawej stronie kierowcy radiowozu, na patrolu pieszym obaj są „prawi”
- * szturmówka, lola, czarnula — pałka policyjna, tu koloru czarnego, 80 cm
- * Kwaśnik, Aniopol, Biały itd. — zniekształcone nazwy miejscowości
- * durny — dyżurny
- * domówka — interwencja domowa
- * ubój, nielegalny ubój — zabójstwo

- * grucha, szczekaczka — mikrofon podłączony kabelkiem do radia
- * kajet — notatnik służbowy
- * rajdowóz — radiowóz
- * korytarz życia — inaczej korytarz ratunkowy, to pas ruchu pojazdów uprzywilejowanych poruszających się między samochodami; korytarz życia pozwala na skrócenie czasu dojazdu samochodów ratunkowych do miejsca wypadku, interwencji
- * bajtel — dzieciak
- * klamka — pistolet
- * kosa — wielki nóż
- * bransoletki — kajdanki
- * jeniec — zatrzymany
- * wsparcie — drugi patrol udający się na pomoc policjantom będącym na miejscu wydarzenia, interwencji
- * wrzucić kogoś na bęben — sprawdzić osobę/samochód w komputerze
- * grupa — funkcjonariusze dokumentujący zdarzenie, takie jak niewyjaśniony zgon, zabójstwo itp., np. technik to pracownik odpowiedzialny za działania techniczne, takie jak fotografowanie, zdejmowanie mikrośladów
- * trzecia klasa — radiowóz posiadający tzw. klatkę (przewozówka, bydłowóz, taxi bagażowe) — samochód przeznaczony do przewożenia zatrzymanych, szczególnie niebezpiecznych lub ubrudzonych wydzielinami, kałem, moczem itp. oraz przewozu osób nietrzeźwych
- * fabryka — komenda
- * rozbojarz — osoba dopuszczająca się kradzieży połączonej z użyciem przemocy wobec osoby lub groźbą natychmiastowego jej użycia
- * trzepanie sierści — użycie środka przymusu
- * dwukropek — podkomisarz
- * łapiduch — lekarz
- * chlewik, dołek — policyjna izba zatrzymań, może też być wytrzeźwiająka
- * grzyb — dyżurka
- * szaszłyk — aspirant

- * dzwon — kolizja
- * kupa złomu (z przewagą kupy) — poważna kolizja
- * kabaryna, lodowa — VW Transporter lub Ford Tranzit z trzecią klasą
- * przewóz, konwój — przewożenie, eskortowanie osób zatrzymanych
- * stary, komediant, 01 — komendant danej jednostki policji
- * sieczkarnia, przejściówka, piekielko — pomieszczenie przejściowe dla zatrzymanych
- * rura, gwizdek — ustnik od alkometru (alkomat, alкотest, dmuchawka — przyrząd do pomiaru stężenia alkoholu w wydychanym powietrzu)
- * zmot — patrol zmotoryzowany
- * KMZ — kontrola miejsca zagrożonego
- * chlor, żul, nur, nurek, menel, menelaos, chwiej, trol, marian — najczęściej pijana osoba z marginesu społecznego
- * jagodzianka — denaturat
- * Chateau de la Tur — wino wątpliwej jakości, najtańszej marki
- * leżak, ombre, kuba, leżyk — pijany nieprzytomny
- * dwusuw — policyjny patrol pieszy
- * krawężniki — policjanci pieszo patrolujący teren, często mówi się, że szlifują krawężniki
- * zdzieranie butów — patrolowanie wyznaczonego rejonu, miejsca
- * zmontować coś — pójść coś wypić, napruć się, pić alkohol
- * szychta — 8-, 10-, lub 12-godzinna zmiana, pełniona w ten dzień służba
- * źródółko — sklep nocny
- * fabryka oficerów — szkoła policji w Szczytnie
- * szturmowcy — patrolówka, patrolowcy
- * strzela z ucha — donosi, skarży przełożonym
- * baza — komenda
- * lewy — kierowca radiowozu
- * marysie, sikoreczki, słoninki — dziewczyny
- * ciurma — z rosyjskiego „tyur’ma”, czyli więzienie, areszt
- * z dziwki — otrzymanie ciosu w twarz zewnętrzną stroną otwartej dłoni
- * łypa — ryj, twarz

- * LQuatro* — zwolnienie lekarskie L4
- * emka — emerytura
- * po peselu — sprawdzenie osoby po numerze PESEL
- * baton — pałka teleskopowa
- * BSW — Biuro Spraw Wewnętrznych, tzw. Policja w Policji — najczęściej ścigają policjantów za łapówki, a także inne przestępstwa popełniane przez policjantów i pracowników policji
- * oczojeby — żółte kamizelki odblaskowe
- * KMP — Komenda Miejska Policji, KWP — Komenda Wojewódzka Policji, KGP — Komenda Główna Policji
- * czarnuch — czarne moro, czarny ubiór ćwiczebny często używany do patrolu
- * Jacyków — wątpliwej renomy stylisty i krytyk mody
- * peem — pistolet maszynowy PM-84 Glauberyt
- * sikh, sikhowie — wyznawcy religii powstałej w Indiach na przełomie XV i XVI wieku, od lat słyną z waleczności, zaś ich religia jest religią pokoju; sikhowie są przeciwni wojnom o podłożu religijnym
- * Wajnachowie — nazwa, jaką określają się Czeczeni i Ingusze
- * klikaczka — elektroniczna przepustka umożliwiająca wejście do budynku komendy
- * sierść — sierżant
- * opecja — OPP, Oddziały Prewencji Policji
- * zomowcy, zomoza — opecja
- * lateksy — rękawiczki lateksowe
- * ćpacz — ćpun, narkoman
- * szwej — policjant oddziału prewencji
- * mumki — wszy
- * bioseptol — płyn do dezynfekcji rąk
- * profos — policjant z etatowej obsługi aresztu (w PdOZ)
- * izba lordów, detoks, żłób, żłobek, Betlejem — wytrzeźwiająka, izba wytrzeźwień
- * tuptuś, troll, nurek, żul itp. — pijak, zazwyczaj osoba pijąca pod sklepem lub leżąca tam, która trafia na wytrzeźwiająkę albo na dołek

- * sarkofag — łóżko do spania w Białostockim dołku
- * NOP — Nieetatowe Oddziały Prewencji
- * żółw — czarny pancerz ochronny, przeciwuderzeniowy, chroniący brzuch, tors i plecy
- * mossberg — strzelba gładkolufowa, strzelba powtarzalna konstrukcji amerykańskiej
- * bąk — nabój zawierający gumowy pocisk kulisty o wadze 4 g i średnicy 17,4 mm;
minimalny dystans bezpieczny to 20 m od celu
- * chrabąszcz — nabój posiada gumowy pocisk cylindryczny w kształcie tłoczka o masie 8 g
i średnicy 17,4 mm, produkowany jest w trzech wersjach; chrabąszcz 20 (CHR2),
chrabąszcz 30 (CHR30), chrabąszcz 50 (CHR50); liczby za oznaczeniem literowym
wskazują, na jakiej odległości od strzelającego (20, 30 lub 50 m) pocisk zachowa
energię
- * ruchacze — policjanci ruchu drogowego
- * pezet — kamizelka szturmowca, pełne ubranie policjanta biorącego udział
w zabezpieczaniu np. meczu (kask, żółwik, ochraniacze)
- * Euro 2012 — przed mistrzostwami odbywającymi się w Polsce; to wówczas wymieniono
większość wyposażenia w oddziałach prewencji, sprzęt starego typu pozostał
w komendach, w których służyły oddziały NOP
- * kosa z przeciwną drużyną — jest to tzw. wojna między kibicami przeciwnych drużyn
- * wieszak, brelok — wisielec, ktoś, kto się powiesił
- * opel z klatką — za siedzeniami kierowcy i prawego wstawiona zabudowa z kratą,
oddzielała pierwszą i drugą klasę — służyła do przewozu osób zatrzymanych
- * szuwarek, spławik — topielec
- * Brot Mit Wurst — z niemieckiego „chleb z kiełbasą”, samochód BMW
- * szmata — legitymacja policyjna (nazwa uznawana za obraźliwą)

XIII

Źródła, z których korzystałem

Jestem człowiekiem nader kulturalnym, co potwierdzi każdy, kto mnie zna. Na co dzień nie używam wulgarnych słów, dlatego też przy pisaniu niniejszej książki skorzystałem z pomocy naukowych. Jako funkcjonariusz policji brzydziłem się przekleństwami, w związku z czym, będąc jeszcze w służbie, surowo karałem osoby nadużywające takich słów — kiwałem palcem wskazującym, dawałem znać groźnym wzrokiem i tzw. chińskim ostrzeżeniem.

Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów, Maciej Grochowski.

Bluzgaj zdrowo. O pożytkach z przeklinania, Byrne Emma.

Wikipedia, za którą przytoczę kilka słów:

Wulgaryzmy i przekleństwa są powszechnie uważane za obsceniczne, dotyczą przekonań religijnych, funkcji cielesnych, seksu i prokreacji oraz części ciała uznawanych za wstydlive. Pan Jerzy Bralczyk wyliczył, że podstawowych wulgaryzmów w języku polskim jest pięć. Są to słowa: chuj, pizda, jebać, pierdolić i kurwa. Reszta to kombinacje tych pięciu, wyrazy pochodne i związki frazeologiczne. Pan Piotr

Fąka uważa, że do niedawna przeklinanie kojarzyło się z brakiem wykształcenia, dobrych manier i towarzyskiej ogłady. Twierdzi, że obecnie przekleństwa nie są powodem do wstydu; istnieje nawet pewna moda na przeklinanie. Według niego używanie przekleństw nie jest obecnie ograniczone wiekiem, płcią, wykształceniem, pozycją społeczną ani osobowością.

Jeśli ktoś zechce dowiedzieć się więcej, odsyłam do wymienionych wyżej książek lub znawców tego tematu, którzy często stoją przy osiedlowych sklepach i sklepikach.

XIV

Zakończenie

Jeśli podobała Wam się książka *Psy Prewencji*, piszcie do mnie na fanpage'u na Facebooku: *Bookmaster* — *od amatora do autora*, do czego serdecznie Was namawiam.

Właśnie powstaje kolejna publikacja utrzymana w tej tematyce — *Folwark Komendanta*. Będą to przygody jednego z moich ulubionych komendantów, Wojciecha Mietka Sławomira Capa, na którego wszyscy w skrócie mówią „stary” lub Cap. Postać tę poznaliście już w niniejszej książce, a jest ona zlepkiem kilku „sympatycznych” komendantów, z którymi miałem wątpliwą przyjemność się poznać.

XV

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania za wiarę w moje skromne możliwości pisarskie, konstruktywną krytykę, cierpliwość oraz wielką miłość należą się mojej żonie, Katarzynie Kościesza. Szczególne podziękowania kieruję też do osób, które wsparły mój projekt, jakim było i jest napisanie książki Psy Prewencji. Za pomoc merytoryczną, duchową, a przede wszystkim materialną (w każdej postaci) podziękowania należą się:

SPONSOROM PROJEKTU:

**— Firmie 4R PROJEKTY I USŁUGI ANDRZEJ RADOMSKI,
BARTOSZ RADOMSKI S.C.**

— Irenie i Januszowi Niewińskim

GAWLIK

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

— Firmie Gawlik Mieszkania Inwestycyjne — bracia Damian i Mariusz Gawlik



— Firmie Kas-Tech kasy i drukarki fiskalne — Tomasz Kapituła



— Firmie Kul-Lok Ewa Kulok — Ewa Świderska Kulok